



Julianna Morris

Pochwycić szczęście

Tłumaczyła Barbara Kośmider



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przed sklep zajechało eleganckie bmw, a oczy Annie James rozszerzyły się ze zdumienia, gdy rozpoznała kierowcę.

- Max Hunter - szepnęła oszołomiona i przeszedł ją miły dreszczyk, choć właściwie nie powinna być zdziwiona. Znali się z Maxem od lat, nadal mieszkała obok jego babci, a on niedawno wrócił do Kalifornii. Prędzej czy później musieli więc na siebie wpaść.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała, należało jednak pamiętać, że są tylko starymi dobrymi przyjaciółmi.

Max właśnie otworzył drzwiczki i pomógł wysiąść eleganckiej kobiecie, a Annie przygryzła wargi. Max zawsze adorował światowe dziewczyny w jedwabnych sukniach, a nie skromne panienki w dżinsach i podkoszulkach. Annie nigdy nie była w jego typie. Kłopot w tym, że chyba nie podobała się żadnemu facetowi.

Przezań, Barnard. - Zabrała księgę przychodów z zasięgu zębów brązowego królika, on zaś zabawnie poruszył noskiem, pokicał po ladzie i znów zaczął żuć róg okładki.

- Ty głupolu. - Annie pogłaskała miękkie futerko

i westchnęła. Zamiast obsługiwać klientów swojego sklepu z artykułami rolniczymi, rozmawiała z królikiem.

Powinna wreszcie coś zrobić ze swoim życiem.

Pragnęła złotej obrączki na palcu, dziecka w drodze i uczciwego mężczyzny w łóżku. Jedyny problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, jak zrealizować te marzenia.

Gryzła się tym od dawna. Dorastała jako jedynaczka owdowiałego ojca, a wśród miejscowych chłopaków zawsze cieszyła się opinią tak zwanej porządnej dziewczyny, więc jej kontakty z płcią przeciwną siłą rzeczy były skromne. Jeśli rzeczywiście chciała trochę zmienić swój wizerunek i znaleźć męża, to rozpaczliwie potrzebowała doświadczonego doradcy.

Takiego, który ma zasady romansowania w jednym palcu.

Znów spojrzała przez okno i nagle doznała olśnienia. Kto jak kto, ale Max Hunter na pewno był ekspertem w tej dziedzinie. Mieszkał w dużym mieście, a zatem znał wszystkie modne miejsca, w których spotykają się, robią zakupy i bawią się faceci do wzięcia.

Skorzystanie z porad Maxa oczywiście wiązało się z pewnym ryzykiem... ale nie miała wyboru.

- Jakież problemy? - spytał Darnell, kilkunastoletni sprzedawca.

- Nie, tylko się zamyśliłam. Zrealizowałeś zamówienie pana Zankowskiego?

- Jasne. Chyba nawet się uśmiechnął.

Pan Zankowski słynął z ponuractwa. W okolicy krążyła plotka, że ostatnio uśmiechał się po wybraniu Dwighta Eisenhowera na prezydenta, lecz Annie nie bardzo w nią wierzyła.

- Ale bryka - z podziwem jęknął Darnell, gapiąc się na bmw. - W życiu nie będzie mnie na taką stać.
- Prawie nikogo w twoim wieku nie stać na taki drogi samochód.
- Jezu, gadasz jak moja mama. Wiesz, że każe mi oszczędzać połowę zarobków na studia?
- Bo cię kocha. - Mówiąc to, Annie poczuła bolesne ukłucie w sercu. Naprawdę musiała się śpieszyć, jeśli chciała mieć synka lub córeczkę. Owszem, lubiła rolę honorowej cioci wszystkich maluchów z miasteczka, ale marzyła o własnym dziecku.

Darnell jeszcze raz obrzucił bmw tęsknym spojrzeniem i powlókł się na zaplecze, a nad drzwiami zabręczał dzwonek.

- Uroczo, w prawdziwie rustykalnym stylu - ironicznie wycedziła miejska elegantka.

- Mogłaś zostać w samochodzie - krótko odparł Max.

Annie natychmiast poweselała. Tak, Max idealnie nadawał się na doradcę. Miał gładką, ciemną cerę i kruczoczarne włosy - co było genetyczną spuścizną po dziadku Indianinie - a także seksowny uśmiech i słuszny wzrost oraz muskularne ciało sportowca.

Takiego mężczyznę musiały otaczać stada wielbicielek. Wystarczy więc, że zdradzi, jakie kobiety mu się podobają, a Annie postara się zastosować do tych uwag. Sam Max nie wchodził w grę jako potencjalny kandydat na męża. Owszem, swojego czasu traciła głowę na jego widok, ale już dawno uznała, że Max jest dla niej nieosiągalny. Był zbyt przystojny i kochał wielkomiejskie życie z całym jego szaleńczym tempem. Zdecydowanie wołałaby związać

się z kimś swojego pokroju, na przykład z tym nowym nauczycielem miejscowej szkoły średniej.

- Cześć, Annie.
- Witaj, Max. Co tutaj robisz?
- Oglądałem działki z klientką. Panna Blakely chce zbudować nad rzeką letni dom według mojego projektu. Zacheiało jej się pić, a ja przypomniałem sobie, że masz automat z napojami.

- Kochanie, już ci mówiłam... dla ciebie jestem Buffy.
- Elegantka zaborczym gestem wzięła Maxa pod ramię,

a on zrobił minę cierpiętnika.

- Automat stoi tam. Potrzebujecie ćwierćdolarówek?
- Annie nacisnęła przycisk staroświeckiej kasy i

zręcznie

przytrzymała brzuchem wyskakującą z impetem szufladę.

- Jeszcze nie oddałaś tego do naprawy? - spytał Max, a Annie przypomniała sobie dzień, w którym nie zdążyła przytrzymać szuflady i oboje z Maxem spędzili pół godziny na czworakach, zbierając z podłogi rozsypany bilon. W pewnej chwili wpadli na siebie pod ladą i Annie mogłaby przysiąc, że Max chciał ją pocałować, lecz pewnie była w błędzie.

- Podobno już nie da się zreperować. - Czule poklepała mosiężne zdobienia. Uwielbiała tego typu starocie. Czasami szwankowały, ale miały styl i charakter. Dlaczego większość ludzi pozbywa się takich cudeniek i zastępuje je przedmiotami, które nie mają żadnej historii?

Max, czy to musi trwać tak długo? Tu jest tyle kurzu.

- Buffy najwyraźniej poczuła się ignorowana.
- Może posiedzisz w aucie? - Max uwolnił łokieć i wręczył swojej towarzyszce kluczyki. - Nie widziałem

Annie ponad miesiąc i chciałbym się dowiedzieć, co sły-
chać w mieście.

- Dzięki, zaczekam tutaj.

- Wspaniale. - Max znów odwrócił się do Annie. -

Babcia wspomniała, że bardzo jej pomagałaś, gdy się prze-
ziębiła. Czemu nic o tym nie wiedziałem?

- Och, po przyjeździe z Bostonu byłeś taki zajęty, że
wolałyśmy nie zawracać ci głowy.

Cała Annie, pomyślał ciepło. Dobra, serdeczna dziew-
czyna, która nie boi się zakasać rękawów i wziąć się do
roboty. Była od niego młodsza tylko o dwa lata, lecz z tą
słodką, dziewczęcą buzią wyglądała jak nastolatka.

Gdyby reszta Mitchellton miała tyle uroku, co Annie,
może dałoby się tutaj wytrzymać. Ale życie w tej nudnej,
zabitej dechami dziurze płynęło w irytująco powolnym tem-
pie. W Mitchellton czas jakby stanął w miejscu. Co prawda
od Sacramento, czyli stolicy stanu, dzieliło je tylko czter-
dzieści kilometrów, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

- Słyszałam, że twoje biuro projektowe odniosło wiel-
ki sukces - mruknęła Annie. - Podobno już zdobyłeś kilka
nagród. Babcia Grace jest z ciebie dumna.

- Jakoś sobie radzę. Próbowałem ją przekonać, żeby
przeniosła się do Sacramento, ale odmówiła. - Max trochę
się zasepił.

- Lubi Mitchellton.

- Tak, ale tam kupiłbym jej luksusowe mieszkanie.
Miałaby też na miejscu najlepszych lekarzy i pierwszo-
rzędny szpital.

- Dobrze wiesz, w czym problem. Tutaj są jej wszy-
scy przyjaciele.

- Max, naprawdę jestem spragniona - syknęła Buffy.
- Chwileczkę. - Max rozciągnął wargi w wymuszonym uśmiechu. Niektórzy klienci działali mu na nerwy, a Buffy Blakely niewątpliwie zaliczała się do tej grupy. - Zaraz coś ci podam. - Zauważył, że Annie zasłania usta dłonią, żeby powstrzymać się od śmiechu, i z udawanym oburzeniem spiorunował ją wzrokiem.

Do licha, cudownie było znów ją zobaczyć. Zwłaszcza wtedy, gdy miało się na karku Buffy - postrach architektów. Szukając idealnego miejsca na letni dom, panna Blakely podobno już zadreńczyła czterech. Max podejrzewał, że wszyscy jego poprzednicy byli kawalerami po trzydziestce. Buffy nie ukrywała, że oprócz zbudowania letniego domu pragnie także wyjść za mąż.

Małżeństwo.

Samo to słowo budziło przerażenie.

Max z lekka się wzdrygnął. Jego rodzice zaliczyli w sumie dziewięć rozwodów, on zaś już stracił rachubę co do liczby swego przyrodniego rodzeństwa. Owszem, można było na siłę uznać, że ojciec i matka to niezwykle optymiści, skoro wciąż próbują znaleźć idealnego partnera, ale Max nie zamierzał iść w ich ślady. Miał swój rozum. Człowiek nie musi przytrzasnąć sobie palców drzwiami, aby wiedzieć, że to bolesne.

- Max - wyszczała Buffy.

Ciężko westchnął i ruszył między rzędami narzędzi ogrodowych i worków z nasionami. W głębi sklepu stał wiekowy automat z napojami. Nie posiadał pojemnika na puszki, tylko serwował butelki, które turlały się na specjalny podajnik.

- To coś działa? - Buffy gapiła się na muzealny obiekt z takim przerażeniem, jakby mógł ją pożreć.

- Jasne. - Max wrzucił monety. - Chcesz colę czy lemoniadę? Chyba jest też sok pomarańczowy.

Nie odpowiedziała, więc podał jej butelkę lemoniady. Przypuszczał, że Buffy wołałaby jakąś drogą francuską wodę mineralną, ale w Mitchellton chyba nikt nawet nie słyszał o takich atrakcjach.

- Annie, napijesz się czegoś? - zawołał. - Ja stawiam.

- Chętnie.

Zignorował oniemiałą Buffy, wziął jeszcze jedną lemoniadę i zaniósł ją Annie. Podziękowała uśmiechem i pociągnęła długi łyk, odchyliwszy głowę do tyłu. Max uznał, że ten zwyczajny ruch był w wykonaniu Annie pełen wdzięku.

Podobnie jak Mitchellton Annie też prawie się nie zmieniła. Nadal miała tę samą smukłą figurę i nadal nosiła workowate ciuszki - może i wygodne, ale niezbyt seksowne. Wielkie, niebieskie oczy spoglądały utnie, a drobną twarz okalały kasztanowe włosy o rudawym połysku.

Dziwne, że do tej pory nie wyszła za męża. W takiej miejscinie jak Mitchellton ludzie nie zwlekali z zawarciem małżeństwa, a Annie była przecież na swój sposób atrakcyjna. Miała cudowny, kształtny i pełny biust...

- Coś nie tak, Max?

Powrócił do rzeczywistości i chrząknął, szczerze zawstydzony.

Co też chodziło mu po głowie?

To z pewnością skutek upału oraz irytującej obecności Buffy Blakely. Nie miewa się erotycznych fantazji na te-

mat swych przyjaciół zwłaszcza takich jak Annie. Na Boga przecież zawsze traktował ją jak młodszą siostrzyczkę!

- Skądże - zaprzeczył. - Trochę się zamyśliłem. - Lepiej, żeby nie wiedziała, co go tak wytrąciło z równowagi.

- Prawdę mówiąc... eee... ja też... o czymś myślałam. Chyba powinnam... chciałabym z tobą pomówić...

Max właśnie zamierzał spytać, dlaczego Annie jest taka zakłopotana, gdy na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

- Nie, Tigger! Nie! Chodź tutaj!

Max powędrował wzrokiem za spojrzeniem Annie i ujrzał wielkiego, pięgowanego kocura zmierającego w stronę Buffy. Zwierzak zamruczał przymilnie i złożył na jej wystających z włoskiego sandałka palcach cenny dar.

Czas jakby zatrzymał się na sekundę w miejscu, gdy cztery pary oczu wpatrywały się w oszołomioną mysz leżącą na stopie Buffy.

Ona zaś wrzasnęła w niebogłosey i wykonała gwałtowny wykop. Mysz przeleciała przez sklep, wylądowała na posłaniu psa, a po sekundzie pomknęła do dziury w ścianie. Tigger ruszył w pogoń.

- To było... ekscytujące widowisko - mruknął Max.

- Ekscytujące?! - Buffy nie posiadała się z oburzenia.
- Ten paskudny gryzoń na pewno zaraził mnie jakąś straszną chorobą!

Max bardziej martwił się o biedną mysz. Nie mógł jej wyjść na zdrowie bliski kontakt z Buffy.

- Nic ci nie będzie - zapewnił z przekonaniem.

- Skąd wiesz? Nie stój jak kołek w płocie. Wezwij lekarza. Daj mi środek dezynfekujący.

Max poczuł, że zaczyna dusić się od powstrzymywania

wybuchu wesołości. Zerknął na Annie - zasłaniała usta dłonią, a niebieskie oczy były wielkie jak spodki. Chyba też z trudem zachowywała powagę.

- Mam jodynę - wybąkała w końcu, a Max nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Ty... ty potworze - zasyczała rozjuszona Buffy. - Podam do sądu ten parszywy sklep i całą tę żalostną miejscinę. A pan, panie Hunter, może iść do diabła!

Panna Blakely odwróciła się na elegancko obutej pięcie, wypadła na zewnątrz i wsiadła do samochodu Maxa. Ryknął silnik i auto ruszyło z piskiem opon.

Max zaklął. Piękne bmw było jego pieścioszkiem, pierwszym kosztownym zakupem świadczącym o odniesionym sukcesie.

- Sądziysz, że nas oskarży? - Annie trochę się zafrasowała.

- Skądże. Panicznie boi się ośmieszyć.

- Była naprawdę wkurzona. Może jednak zechce się odegrać.

- Zapominasz o jednym. - Max odgarnął z jej policzka kosmyk włosów. - Buffy właśnie ukradła mi wóz. To poważniejsze przestępstwo niż narażenie kogoś na kontakt z niegroźną myszką.

Jak na kogoś, kto przed chwilą stracił luksusowe auto i prawdopodobnie spore honorarium, Max zachowywał się raczej beztrosko. Annie doszła jednak do wniosku, że powinna poczekać z wyjawieniem dręczącego ją problemu na bardziej stosowny moment. Najpierw zabierze Maxa do siebie i porządnie nakarmi. Później zaś podwiezie go do Sacramento, a po drodze opowie o swoim planie.

Stanowczo wysunęła brodę, zdecydowana odpowiednio zapanować nad swoim życiem. Miała trzydzieści dwa lata z nikim nie romansowała i nadal była bezdzietną

Musiała to zmienić, a czas naglił. Niedawna diagnoza lekarska nie pozostawiła co do tego żadnych wątpliwości.

- Chcesz złożyć doniesienie o kradzieży samochodu? Policja nie roześle z tego powodu listów gończych za Buffy, ale...

- Czemu nie? - Max uśmiechnął się. - Warto opracować strategię na wypadek, gdyby Buffy wytoczyła ciężką artylerię.

Annie wystukała numer i wręczyła słuchawkę Maxowi. Na miejscowym posterunku pracowało tylko dwóch funkcjonariuszy - szeryf i jego zastępca. W Mitchellton problem przestępczości w zasadzie nie istniał.

Max wyjaśnił zastępcy Newellowi okoliczności kradzieży, ale policjant nie był ciekaw szczegółów. Annie właśnie tego się spodziewała. W przeciwieństwie do niedawno wybranego szefa, Newell niezbyt gorliwie wykonywał swoje obowiązki. Najbardziej lubił te, które nie wymagały zdejmowania nóg z biurka i opuszczania pokoju.

- Zamknę sklep i podwiozę cię do Grace - oznajmiła Annie, gdy Max skończył rozmawiać. - Nawet dam ci obiad, żeby zrekompensować poniesione straty moralne.

- To Buffy zawiniła. I nie zamykaj wcześniej z mojego powodu. Szkoda zarobku.

- Och, w sobotnie popołudnie i tak jest mało klientów.
- Annie podeszła do drzwi przyległego magazynu, gdzie Darnell układał pod ścianą dwudziestokilogramowe worki

nawozów sztucznych. - Zaraz zamykam! - zawołała. -
Możesz już iść.

- Super. - Chłopak się rozpromienił. - Mam dzisiaj randkę. Zapłacisz mi normalnie?

- Jasne.

Darnell wydał radosny okrzyk i za minutę już pędził na towerze do domu.

- Dawniej też tak się podniecałem na myśl o randce - przyznał Max, gdy Annie podliczała utarg. - Pamiętasz, jak to było?

Annie zacisnęła wargi. Wołała jak najdłużej odwlekać chwilę, w której będzie musiała przyznać się Maxowi do braku doświadczenia w tej dziedzinie. Zresztą Max chyba pamiętał, że nigdy z nikim nie chodziła. Sam miał dziewczyn na pęczki i bałował w każdy weekend, lecz ona spędzała piątkowe i sobotnie wieczory zupełnie inaczej.

- Nie ma jak szkolne lata - rozprawiał Max, jakby nie zauważył, że nie odpowiedziała. - Człowiek martwił się tylko kolejnymi klasówkami i burzą hormonów. Piękne czasy.

- Nie powiedziałabym.

Max drgnął, słysząc w jej głosie nutę frustracji. Cóż, tamten okres w życiu Annie rzeczywiście nie zaliczał się do najlepszych. Jej ojciec ciężko chorował przez kilka lat, a ona się nim z oddaniem opiekowała aż do jego śmierci.

- Wybacz, Annie. Zapomniałem. Ty nie miałaś wtedy zbyt wielu powodów do radości, prawda?

- To już bez znaczenia - odparła, prawie niedostrzeżalnie wzruszając ramionami.

- Rozumiem cię lepiej, niż sądzisz. Większość z nas nie lubi wspominać przykrych chwil z dzieciństwa.

- Zawsze mówiłeś, że twoje stało się cudowne, odkąd zamieszkałeś z Grace.

- Niewątpliwie. Było może trochę nudnawe, ale dużo lepsze niż przedtem. - Max w zamyśleniu potarł szczękę. Dzięki Grace wyszedł na ludzi. Ona zapewniła mu stabilizację, tak cenną po burzliwym okresie życia z rodzicami, którzy wiecznie się kłócili.

Gdy Max skończył jedenaście lat, babcia Grace oświadczyła, że zabiera go do siebie, a rodzice dość szybko wyrazili zgodę. Max osiągnął bowiem wiek, w którym sprawiał wiele kłopotów - był przemądrzały i uparty, toteż chętnie obarczyli tym problemem babcie.

Annie zapisała jakieś liczby w księdze przychodów i włożyła do sejfu płócienną torebkę z utargiem.

- Zostawiasz pieniądze tutaj? - Max nie posiadał się ze zdziwienia. - Nie lepiej złożyć depozyt w bankomacie?

- W sobotę kwota jest niewielka, a w poniedziałek muszę mieć w kasie trochę gotówki - Annie przykleiła do szyby kartkę z napisem „Już nieczynne” - bo przyjdzie dostawa siana.

Max zaklął w duchu. Annie była drobnej budowy - sięgała mu ledwie pod brodę. Nie powinna dźwigać bel siana ani innych ciężkich towarów. Ale radziła sobie znakomicie, tak jak przedtem jej ojciec. Zdaniem Maxa asortyment nie uległ zmianie od co najmniej dwudziestu lat. Na półkach leżały worki z nasionami i nawozami, nie brakowało też różnorodnych narzędzi. Jedyną nowością był duży wybór towarów dla zwierząt domowych.

- Chodź, Barnard. - Annie podniosła z podłogi brązowego królika i wsadziła go sobie pod pachę.

- A Tigger?
- Mieszka tutaj. Pilnuje magazynu przed szczurami i myszami.
- Świetnie przegania też irytujących klientów. - Max zachichotał na wspomnienie niedawnej sceny, natomiast Annie wyraźnie się stropiła. Biedulka, pomyślał. Zanadto wszystkim się przejmuję. Ale było to chyba skutkiem faktu, że musiała szybko dorosnąć, gdy jej ojciec zachorował. - Już dobrze, dzieciaku - zapewnił serdecznie. - Buffy dała mi nieźle popalić. Muszę odwdzińczyć się Tiggerowi za to, że mnie od niej uwolnił.
- Daj mu porcję kocimiętki. Całkiem po niej głupieje. Wychodząc za Annie ze sklepu, Max stwierdził, że on także głupieje, skoro ma ochotę ją uścisnąć. Najbardziej zależało mu bowiem nie na wyrażeniu swojej sympatii, tylko na sprawdzeniu, jaki smak mają usta Annie.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Cóż za pyszności, Annie - pochwaliła Grace Hunter, starannie składając serwetkę.

- Od dawna tak się nie objadłem. - Max z westchnieniem włożył do ust kawałek ciasta z rabarbarem. - W Bostonie brakowało mi twojej kuchni.

- Podziękuj Grace. Ona mnie wszystkiego nauczyła.

- Dzięki, babciu. - Max łakomie zerknął na resztę ciasta w żaroodpornej foremce. Ciekawe, czy zdołałby wepchnąć w siebie jeszcze jedną porcję... Po namyśle uznał, że jednak nie.

Annie gotowała proste, lecz bardzo smaczne potrawy. W przydomowym ogrodzie uprawiała różne warzywa oraz wiele ziół, którymi przyprawiła podanego dzisiaj kurczaka z różną.

- Jestem trochę zmęczona - mruknęła Grace. - Chyba pójde do siebie i obejrze ten dokumentalny film o Japonii. Max, pomożesz Annie pozmywać?

- Oczywiście. - Cmoknął babcię w policzek i odprowadził ją zatroskanym spojrzeniem, gdy szła przez podwórko do swojego domu.

- Nie martw się - cicho powiedziała Annie. - Ona niedawno chorowała na grypę.

- Sądziś, że odzyska siły? Zawsze wydawała mi się nie do zdarcia, a teraz jest taka słaba.

- Ma sześćdziesiąt siedem lat, Max. U człowieka w tym wieku okres rekonwalescencji trwa dłużej. Lekarz twierdzi, że Grace pewnie dożyje setki, ale to już nie te lata, gdy wprost tryska się energią.

- Rozmawiałś z nim?

- Jasne.

Max uśmiechnął się. Annie była bardzo opiekuńcza wobec swoich bliskich. Bez wątpienia poddała lekarza bezlitosnemu przesłuchaniu.

Max postanowił zostać w Mitchellton do jutra. Ostatnio z powodu nawału obowiązków zawodowych rzadko tu przyjeżdżał. Grace mówiła, że to cena sukcesu. Pracował rzeczywiście ciężko. Jeśli akurat nie ślęczał nad kolejnym projektem, to leciał do Bostonu, Paryża lub innego miejsca na świecie, aby doglądać realizacji budowy.

Uwielbiał takie szalone tempo. Natomiast w maleńkim Mitchellton największymi atrakcjami nadal były niedzielna msza oraz piątkowy mecz szkolnej drużyny.

Krzążając się po kuchni, Max spod oka obserwował Annie. Sprawiała wrażenie dziwnie spiętej, co trochę go zaniepokoiło.

- Widzę, że pomalowałaś kuchnię - zagaił, patrząc na bładoniebieskie ściany, które dawniej były żółte.

- Tak, po Bożym Narodzeniu. - Annie nerwowo przejechała dłońmi po udach.

Pamiętał, że chciała z nim o czymś porozmawiać. Widocznie ta sprawa tak ją rozstrajała. Ciekawe, o co chodzi. Chyba nie o zdrowie Grace, bo ten temat już poruszyli.

- Chodźmy na spacer - zaproponował. - Od lat nie byłem nad naszą rzeką.

- Eee... dobrze.

Max uprzedził babcię, że wróci trochę później, i wraz z Annie ruszył zarośniętą chwastami ścieżką w kierunku rzeki. Annie bardzo lubiła tę porę dnia. Żłociste słońce wisiało nisko nad horyzontem, a cały świat zdawał się odpoczywać. Nadal było gorąco, lecz żar już tak nie dokuczał, a cykanie świerszczy i leniwy szmer rzeki działały kojąco.

- Wciąż zapominam, jak tu pięknie - po długiej chwili milczenia stwierdził Max.

- Może dlatego, że od dziecka marzyłeś o ucieczce z Mitchellton - bez zastanowienia palnęła Annie i natychmiast tego pożałowała.

- A ty zawsze wiedziałaś, że chcesz tu zostać.

- Mitchellton to cudowne miasteczko. Właśnie w takim miejscu należy zakładać rodzinę i wychowywać swoje dzieci.

- Może i racja. Ale ty nie masz dzieci.

Cóż, było to stwierdzenie faktu, lecz mimo to słowa Maxa trochę ją wyprowadziły z równowagi.

- Nie. - Wbrew własnej woli powiedziała to zdławionym szeptem.

- Annie, w czym problem? Jesteś taka rozstrojona. Wzięła głęboki oddech. Teraz powinna poprosić Maxa o pomoc, lecz nagle odezwały się wątpliwości. Przecież jest taki zajęty - prowadzi biuro projektów, ma swoje życie. I czy w ogóle zdołałby ją zrozumieć? Nikt nie zrozumie.

Dziewczęta z małych miasteczek były równie świadome swojej kobiecości, jak te z wielkich metropolii, miały też podobne doświadczenia w sferze seksualnej. Lecz Annie dziwnym trafem została pod tym względem w tyle.

Zacisnęła mocno dłonie i próbowała zdecydować, co jest ważniejsze - jej duma, czy pragnienie, aby odmienić swoją egzystencję.

- Nie krępuj się, Annie. Mnie możesz powiedzieć wszystko. Tak jak dawniej.

Akurat, pomyślała. Uwielbiała Maxa, lecz uważała, że brak mu wrażliwości. Sam nigdy nie lubił się nikomu zwierzać i Annie to szanowała. Ona także nie obciążała go swoimi kłopotami. Aż do dzisiaj.

- Proszę cię, Annie. Wyduś to wreszcie. Chętnie ci pomogę, jeśli tylko będę w stanie.

Oblizała wargi i uznała, że raz kozie śmierć.

- Prawdę mówiąc... przyda mi się twoja pomoc. Tak sobie pomyślałam, że ty... że mógłbyś mi poradzić, jak przyciągnąć uwagę mężczyzny.

Patrzył na nią oniemiały i chyba się zaczerwienił, lecz tego nie była pewna, ponieważ jego ciemna cera i tak skutecznie zamaskowałyby ewentualny rumieniec.

- Chcesz, żebym... co zrobił?

- Udzielił mi kilku rad - odparła, starając się, aby zabrzmiało to rzeczowo. - Powiesz mi, jak mam się ubierać, jak się malować, jakich używać perfum, żeby się podobać. Moje koleżanki znają się na takich rzeczach, ale ty jesteś prawdziwym ekspertem. Chciałabym poznać męski punkt widzenia. Może nawet moglibyśmy... pójść na próbną randkę. Oczywiście pokryję wszystkie koszty.

Nie odpowiedział, tylko wciąż gapił się na nią z lekka oszołomiony.

- No dobrze, zrezygnujmy z tej randki - dodała pośpiesznie. - Ale zrób mi kilka wykładów na temat seksownych ciuchów... i może tego, co należy mówić.

- Po jakie lichy?

- Chcę wyjść za mąż - parsknęła, rozjątrzona tym oczywistym brakiem zrozumienia.

- Jezu. - Max przeczesał palcami włosy. - Wszystkie znane mi kobiety marzą tylko o złapaniu chłopca. Mają fioła na tym punkcie. Wstąpiłaś do klubu, czy co?

Annie dopiero teraz pojęła, dlaczego kobietę czasem świerzbi ręka, aby dać facetowi w pysk. Powodem jest bezbrzeżna tępota i głupota męskiego rodzaju.

- Zapomnij o tym, co powiedziałam!

- Nie, zaczekaj...

- Nie mogę czekać!

Odwróciła się na pięcie i prawie biegiem ruszyła ścieżką. Mężczyźni są beznadziejni. Może lepiej zrezygnować z myśli o małżeństwie i adoptować niemowlę, choć w przypadku samotnej kobiety formalności trwają bardzo długo.

Jednak w głębi duszy Annie wiedziała, że pragnie mieć własne dziecko, sama je urodzić. Powstanie nowego życia to cud i jeśli chciała tego doświadczyć, musiała się spieszyć, ponieważ zostało jej niewiele czasu.

- Annie, stój.

Zwolniła. Niedaleko rósł stary, rozłożysty dąb, tak mocno ukorzeniony, że przetrwał nawet okresy największej suszy. Annie zawsze przychodziła tutaj, aby popłakać lub pomarzyć, ale nie zamierzała robić tego w obecności Maxa.

- Annie. - Max chwycił ją za ramię, i obrócił twarzą do siebie. - No dobrze, przepraszam, chyba przesadziłem. Pogadajmy.

- Nie ma o czym.

- Przeciwnie.

Przez chwilę mierzyli się chmurnymi spojrzeniami. Annie dopiero teraz przypomniała sobie, że Max jest przeciwnikiem instytucji małżeństwa. Od lat obserwował, jak jego rodzice biorą śluby i rozwodzą się, porzucając dotychczasowych partnerów z taką łatwością, jak człowiek rozstaje się z rozklekotanym samochodem. Ale nie brał pod uwagę tego, że niektórzy ludzie są w stanie dokonać właściwego wyboru i żyć w harmonijnym związku.

- Dajmy sobie z tym spokój. - Annie wlepiła wzrok w migotliwą powierzchnię rzeki.

Wydawało się, że szmaragdowa woda płynie spokojnie, wręcz leniwie w swoim szerokim korycie. Ale były to tylko pozory; w rzeczywistości rzeka obfitowała w silne, niebezpieczne wiry, które mogły wciągnąć w głęboką toń nieostrożnego pływaka. Poniekąd przypominała więc samo życie, jak mawiał ojciec Annie.

- Annie... - Max patrzył na nią z bezradną miną. - Po prostu trochę mnie zaszokowałaś tym... tym pomysłem, żeby się podobać facetom.

- Ja w atrakcyjnym wcieleniu... to istotnie szokujące - wycodziła z sarkazmem w głosie.

- Do licha, źle się wyraziłem. Zawsze uważałem, że jesteś ładna.

- Cóż za wspaniałe potwierdzenie mojego seksapilu.

- Przestaniesz wreszcie przekręcać moje słowa? -
Chwycił z ziemi spory kamień i z całej siły cisnął go do wody.

Annie westchnęła. Nie miała prawa czepiać się Maxa. Zareagował naturalnie, a ona była nie tyle rozgniewana, co raczej przerażona. Zgodnie z lekarską diagnozą zostało jej tylko kilka miesięcy, by zająć w ciążę. Należało więc zapomnieć o dziewczęcych marzeniach i szybko rozejrzeć się za kandydatem na męża.

- Nic nie kapuję - stwierdził Max, usiłując zapanować nad swoim wzburzeniem. - Jesteś atrakcyjną kobietą. Z pewnością mogłaś nieraz wyjść za mąż.

- Mitchellton to farmerska społeczność. - Annie wruszyła ramionami i wsunęła dłonie do kieszeni workowatych dżinsów. - Tutaj ludzie pobierają się bardzo młodo. Gdy tata chorował... rzadko chodziłam na randki. A później nagle okazało się, że wszyscy chłopcy są już żonaci lub stąd wyjechali.

- Rozumiem - odparł bez większego przekonania. - Ale co do tego doradzania... Nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć.

- Jesteś mężczyzną, więc mnie oświeć i zdradź, co podoba się facetom.

Max uznał, że nie jest w stanie jej pomóc. W myśli szukał odpowiednich słów, aby łagodnie odmówić, ale powstrzymał się, gdy dostrzegł w jej błękitnych oczach bezmiar smutku.

Takiego samego jak wtedy, przed laty, gdy Annie wreszcie zrozumiała, że jej ojciec umrze. Że nie wyzdrowieje, choćby ona codziennie gotowała mu pyszne obiady, choćby nie wiadomo jak ciężko pracowała i całymi godzinami mo-

dliła się o jego zdrowie. Max nie mógł wówczas ulżyć jej cierpieniu, lecz niech go szlag, jeśli teraz nie spróbuje czegoś dla niej zrobić.

- Co się dzieje, Annie? Skąd ten pośpiech?

- To... kwestia zdrowotna. Muszę iść na operację. Nie tego się spodziewał. Poczul, jak żołądek kurczy mu się ze strachu.

- To coś poważnego? Wyzdrowiejesz?

- Mam cysty na jajnikach. Nic strasznego, lecz jeśli chcę mieć dzieci, to muszę się pośpieszyć.

Max zacisnął powieki. Nie był pewien, co czuje - ulgę czy gniew. Annie nie zasługiwała na kolejne problemy. Była najmilszą dziewczyną, jaką znał. Słodką i dobrą. Wcześniej straciła rodziców i sporo wycierpiała, lecz nie zgorzkniała i nie skrzywdziłaby nawet muchy.

- Takie czekanie nie jest niebezpieczne? - Uważał, że życie Annie jest ważniejsze od urodzenia dziecka, choć ona miała chyba inne zdanie na ten temat.

Lekarka stwierdziła, że mogą wstrzymać się z tą operacją, ale niezbyt długo. Rzecz w tym, że później... po zabiegu będzie mi trudno zająć w ciążę.

- Ach tak. - Widział, ile kosztowało ją to wyznanie.

- Chyba nie pojmujesz, jakie to dla mnie ważne - powiedziała z wahaniem. - Nigdy nie widziałeś się w roli ojca, więc pewnie uważasz, że to wszystko nie ma sensu.

- Moim zdaniem nie ma - przyznał szczerze. Nie był wrogo nastawiony do dzieci, sądził jednak, że ich pojawienie się na świecie jeszcze bardziej komplikuje stosunki między małżonkami. - Ale gotów jestem wysłuchać twoich racji.

- Dobrze mi się żyje w Mitchellton. Jestem honorową ciocią miejscowych dzieciaków, honorową członkinią szkolnego komitetu rodzicielskiego, a nawet honorową dziewczyną panów z chóru kościelnego. Ale...

Urwała a Max już cierpiał z powodu tego, co powiedziała... i czego nie dopowiedziała. Annie pełniła mnóstwo honorowych funkcji, lecz to o wiele za mało dla takiej kobiety.

- Ale po powrocie do domu...? - zasugerował szepcetem.

- Jestem całkiem sama - dokończyła nieco drżącym głosem. - A właściwie z królikiem. Zawsze myślałam, że mam jeszcze dużo czasu, aby odmienić swoje życie, lecz los spletał mi figła.

- Porządny facet nie będzie się przejmował tym, że nie możesz mieć dzieci.

- Ale ja ich pragnę. I chyba nie mogłabym wyjść za kogoś, świadomie pozbawiając go szansy na ojcostwo. Oczywiście jest inna możliwość... sztuczne zapłodnienie.

- Idiotyczny pomysł. Lekarz ci to doradził? - Max był taki oburzony, że Annie zachichotała i poklepała go po ramieniu.

- Moja lekarka chciała tylko mnie oświecić. Dziwię ci się, Max. Ta metoda to szalenie nowoczesny sposób, a ty jesteś światowym człowiekiem. Co cię tak szokuje?

- Nic - burknął.

Wszystko.

Annie korzystająca z usług banku spermy? Na myśl o tym Maxowi zrobiło się niedobrze. Co prawda Annie w ciąży, z dużym brzuszkiem, wyglądałaby ślicznie... Wyobraził ją sobie w tym stanie, poczuł, że zalewa go fala żaru i dopiero teraz wpadł w popłoch.

Przecież Annie to... Annie.

Przyjaciółka.

Wspaniała przyjaciółka.

Pomagała jego babci, zawsze mógł liczyć na jej dobroć i poczucie humoru. Lecz nawet wówczas, gdy był nastolatkiem i jego hormony szalały, nigdy nie traktował jej jak kobiety godnej pożądania.

- .. a to jest zbyt ryzykowne.

- Możesz powtórzyć? - Tak się zamyślił, że nie słyszał, co powiedziała.

- Zastanawiałam się, czy po prostu nie iść do baru i kogoś nie poderwać, ale to niezbyt uczciwe załatwienie sprawy. No i nie znam się na sztuce uwodzenia.

- Więc miałbym ci pomóc... uwieść faceta, żebyś zaszła w ciążę. - Max bezwiednie zgrzytnął zębami. Wykluczone, żeby pozwolił Annie włóczyć się po barach dla samotnych i szukać partnera do łóżka. Postanowił też od razu dać w zęby każdemu, kto próbowałby szczęścia. W ogóle cały ten pomysł, żeby Annie znalazła sobie jakiegoś mężczyznę, był poroniony.

- Max. - Annie zmierzyła go surowym spojrzeniem. - Ty mnie nie słuchasz. Chcę się zakochać. Chcę, aby moje dziecko miało oboje rodziców. Poprosiłam cię, żebyś pomógł mi znaleźć męża, a nie zrobić jakieś głupstwo. Możesz mi wierzyć lub nie, ale sporo przedstawicieli twojej płci pragnie założyć rodzinę.

- Dobrze, masz rację - mruknął, usiłując skłonić swój umysł do pracy.

- I wcale nie zamierzam nikogo zrobić czy oszukać. Proszę cię tylko o kilka cennych rad... żeby jakoś zacząć.

Akurat pojawiło się dwóch potencjalnych kandydatów - nowy nauczyciel i trener w jednej osobie oraz nowy szeryf. Obaj są bardzo sympatyczni i podobno wolni.

- Do licha, już sobie wszystko obmyślałaś, więc na co ja ci jestem potrzebny? - burknął rozdrażniony.

- Naucz mnie, jak się zachowywać na randce. Ale najpierw muszę zmienić kilka rzeczy w swoim wyglądzie.

- Jesteś atrakcyjna.

- Max, spójrz na mnie. Tak uważnie. I szczerze powiedz, co widzisz.

Zobaczył burzę kasztanowych włosów, które w promieniach zachodzącego słońca miały piękny odcień cynamonu. Słaby powiew wiatru od strony rzeki sprawił, że cienka bluzka przylgnęła do smukłego ciała, ujawniając urocze krągłości. Policzki były ślicznie zaróżowione, a niebieskie oczy - okolone ciemnymi rzęsami.

Ale najbardziej kuszące były usta - pięknie wykrojone i pełne. Takie usta wręcz błagały, aby je pocałować, a smak tego pocałunku z pewnością pozostałby w pamięci na bardzo długo.

Max skarcił się w duchu za te rozważania. Co też przychodzi mu do głowy?

- Już wiesz, w czym rzecz, prawda? - Annie znów przystąpiła do ataku. - Gdybym sama popracowała nad moim wyglądem, skutki mogłyby okazać się komiczne, więc pomóż mi. Nie proszę, żebyś znalazł mi męża. Z tym jakoś sobie poradzę.

Oby, dodała w myślach.

Po tamtej pamiętnej wizycie u lekarza przez kilka tygodni chodziła jak odurzona. Za nic w świecie nie chciała

uwierzyć w diagnozę. Jednak po jakimś czasie wreszcie zrozumiała, że musi zaakceptować rzeczywistość i wziąć sprawy w swoje ręce.

- Robi się późno - mruknęła. - Pora wracać.

Nie było późno, lecz ona chciała jak najszybciej umknąć przed tym badawczym i jednocześnie oszołomionym spojrzeniem Maxa. Przed jego dociekliwością.

Przygryzła wargę. Nie powinna była rozmawiać z Maxem o tak bardzo intymnych sprawach. Przecież mężczyźni nie rozumieją, co to jest instynkt macierzyński. A Max na dodatek zawsze był wrogiem instytucji małżeństwa. Nie należało też oczekiwać, że pojmie, dlaczego jego przyjaciółce Annie brak wiary w moc własnej kobiecości.

Mężczyźni wciąż narzekali, że z powodu wyzwolenia kobiet już nie mają pojęcia, jak je traktować. Ale sytuacja kobiet wydawała się jeszcze gorsza. Zwłaszcza tych, którym wpojono tradycyjne wartości. Żyły w ciągłej niepewności, co wypada czynić, a czego nie. Oczywiście świat by się nie zawalił, gdyby to Annie zaproponowała randkę nowemu nauczycielowi. Może nawet zdobyłaby się na taką zuchwałość, ale najpierw chciała zmienić wizerunek.

Spojrzała na siebie z niesmakiem. Miała o wiele za luźne dzinsy i równie workowatą bluzkę. Takie ciuchy idealnie nadawały się do krztałania po sklepie, ale skutecznie odstraszały mężczyzn. W zeszłym tygodniu Annie wybrała się do eleganckiego butik w Sacramento, ale zirytowana protekcyjnym zachowaniem sprzedawczyni niczego nie kupiła.

Spomiędzy niskich krzaczków nagle wleciał w powietrze bażant, głośno trzepocząc kolorowymi skrzydłami.

Świat przyrody jest mniej skomplikowany, stwierdziła z westchnieniem. Zwierzęta nie muszą kupować ubrań ani martwić się o swój wygląd.

Albo na przykład taki Max.

On od stóp do głów wyglądał idealnie. Po trzydziestce wielu mężczyzn zaczyna tracić młodzieńczą sylwetkę, lecz Max nadal był muskularny i chodził sprężystym krokiem. Miał zbyt męskie rysy, aby jego twarz uznać za piękną, lecz jedno spojrzenie jego ciemnych, prawie czarnych oczu zapierało dech w kobiecych piersiach.

Annie zerknęła spod rzęs na swego przyjaciela. Sprawiał wrażenie kogoś, kto znajduje się tysiąc kilometrów stąd. Był wyraźnie zaseponiony i milczący. Trochę ją to zmartwiło. Gotowa była zrezygnować z jego pomocy, byle tylko zachować przyjaźń.

- Zapomnij o tym, co mówiłam, Max - powiedziała, gdy odprowadził ją do kuchennych drzwi. - Jakoś dam sobie radę. Nie powinnam była obarczać cię swoimi problemami. Daj znać, gdy zechcesz, żebym zawiozła cię do Sacramento. Jutro niedziela, więc cały dzień będę w domu.

- Nie idziesz do kościoła?

- Nie - odparła nieco zdławionym głosem. Zamiast mszy miało się odbyć dziecięce przedstawienie o tematyce biblijnej. Dzieciaki przygotowywały inscenizację od kilku tygodni, lecz Annie obawiała się, że na widok tych wszystkich uśmiechniętych buziaków chyba się zupełnie rozklei.

Max wziął głęboki oddech. Pragnął powiedzieć coś

kojącego i miłego, lecz Annie szybko weszła do środka i natychmiast zamknęła za sobą drzwi.

A on został na zewnątrz, zniesmaczony swoim zachowaniem. Należało jakoś wyrazić swoje zrozumienie, przytulić Annie, ale on wszystko zepsuł, pozwalając, aby jego męskie ego położyło się cieniem na przyjaźni.

Wrócił do domu babci i z ciężkim westchnieniem wyszedł na werandę. Grace trzymała tu wygodną kanapę, na której spała podczas najbardziej upalnych nocy. Nie chciała, żeby zainstalował klimatyzację, wołała bowiem staromodne wentylatory. W domu rzeczywiście dawało się wytrzymać, ponieważ łagodna bryza niosła trochę chłodu od strony rzeki.

Max wyciągnął się na kanapie i podłożył pod głowę splecione dłonie. W przeciwieństwie do hałaśliwego miasta tutaj panowała błoga cisza, przerywana jedynie cykaniem świerszczy i delikatnym poszumem wiatru w koronach drzew.

Max zamknął oczy, lecz nadal miał pod powiekami obraz Annie stojącej nad rzeką, oświetlonej promieniami zachodzącego słońca. I nie mógł zapomnieć tęsknoty, którą słyszał w jej głosie.

Teraz żałował swojego zachowania. Przecież jego przekonania w tym przypadku w ogóle nie były ważne - nie musiał dzielić i rozumieć marzeń Annie, aby je zaakceptować.

Postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, aby pomóc Annie. Był jej to winien.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Jak ci się spało?

Annie drgnęła zaskoczona i raptownie się odwróciła.

- Dobrze, Max. - Było to jedno z tych niewinnych kłamstw, które nie pozwalają zranić zarówno czyichś, jak i własnych uczuć.

Max miał na sobie tę samą koszulę i spodnie, co wczoraj. Annie to nie zdziwiło, ponieważ nie planował zostać u Grace na noc. Zdumiewające wydawało się coś innego - fakt, że o tej porze był już na nogach. Max nigdy nie należał po rannych ptaszków.

- Co tu robisz w środku nocy? - Max ziewnął.

- Już jest ranek, nie zauważyłeś? Wiesz, ta część do-
by, gdy wschodzi słońce, zaczynają świergotać ptaki i cały świat się budzi. - Zerknęła na Maxa spod oka i stwierdziła, że jest równie poważny, jak wczoraj wieczorem, gdy się żegnali. Tej nocy przez kilka godzin głowiła się, co robić. Max był jej przyjacielem i nade wszystko chciała uratować tę przyjaźń, ale jego zachowanie trochę ją ubodło.

Przecież pragnęła dziecka, a nie gwiazdki z nieba czy lotu w kosmos. Chciała tylko tego, o czym marzą miliony innych kobiet.

„Powinna pani zająć w ciąży w ciągu najbliższych sześciu, góra dziewięciu miesięcy...”

Słowa lekarki nadał brzmiały w uszach Annie, boleśnie przypominając, że jest w trudniejszej sytuacji niż większość kobiet. Po pierwsze, była niezamężna. Po drugie, nie miała pojęcia, jak postępować z mężczyznami. A po trzecie, musiała działać naprawdę szybko. Tyle tylko, że Max nie był niczemu winien, powinna więc go przeprosić.

- Annie...

- Max... - Urwała w tym samym momencie, co on. -
Dobrze, ty pierwszy.

- Nie, ty.

Nigdy jeszcze nie czuli się w swoim towarzystwie tak nieswojo. Annie spuściła wzrok. Powinna była wiedzieć, że mężczyźni inaczej postrzegają pewne sprawy. I że Max nie zmienił się ani na jotę.

- Przepraszam cię za wczorajszą wieczór - powiedziała pośpiesznie. - Źle zrobiłam, prosząc cię o pomoc. To było nie fair.

- Po prostu mnie zaskoczyłaś. - Oględnie mówiąc, dodał w duchu. Nigdy specjalnie nie zastanawiał się nad intymną stroną życia Annie. Gdy w latach szkolnych jego koledzy zaczęli ją podrywać, kazał im traktować ją jak damę. Reszta go nie obchodziła.

Natomiast od wczoraj Annie bezustannie zaprzętała jego myśli, a wyobrażenia podsuwała zdumiewająco erotyczne obrazy.

Do tej pory tylko raz zareagował tak dziwacznie na bliskość Annie. Wtedy gdy zbierali rozsypane monety... Miała zaróżowione i lekko spocone policzki. Była zadyszana i taka urocza, że nagle poczuł przypływ pożądania, lecz zaraz na szczęście odzyskał zdrowe zmysły.

Jakie to dziwne. Od dawna nie myślał o tamtym dniu, lecz nadal doskonale go pamiętał.

Annie pochyliła się, żeby rozwinąć gumowy wąż do podlewania ogrodu, a Max omal nie jęknął na widok jej długich, zgrabnych nóg i kształtnej pupy.

Do licha, pomyślał i zacisnął zęby.

- Jeśli chcesz, mogę zawieźć cię do Sacramento już teraz. - Annie wyprostowała się i strząsnęła z rąk krople wody.

- Nie ma pośpiechu - wymamrotał, gdy wreszcie zdołał rozluźnić szczęki.

- Nie martwisz się o swój samochód?

- Nie bardzo. Buffy to rozwydrzona pannica, ale nie jest idiotką. Pewnie zostawiła auto przed moim domem lub na biurowym parkingu. Prześle mi kluczyki albo wróci po mnie do Mitchellton.

- Ach tak... - Annie poszła w głąb ogrodu, a Max niemal poczuł, jak wszystkie rośliny zaczynają rosnać w oczach, wdzięczne za jej troskę.

Na tyłach dwóch sąsiadujących ze sobą domów zawsze znajdował się ogród. Max pamiętał, że dawniej były tu tylko równiutkie grządki z warzywami uprawianymi przez jego babcię, a młodziutka Annie pomagała dbać o krzaki pomidorów, marchewkę i szpinak. Lecz w miarę upływu czasu przybywało różnorodnych sadzonek i obecnie wszędzie było widać rękę Annie.

Bujne, kolorowe kwiaty wypełniały dosłownie każdy zakątek, a za pomalowaną na biało, drewnianą kratką porośniętą pnącymi różami znajdował się ogródek w stylu japońskim, z sadzawką pełną wodnych lilii i kilkoma ma-

łymi fontannami. Tę część pomógł zaprojektować Max, on też zainstalował specjalne zraszacze.

- Masz nadzieję, że będzie cię szukać? - Po paru minutach spytała Annie. - Ta panna Buffy.
- Nie.- Maxa zdziwił ton, jakim Annie zadała pytanie.
- A bo co?
- Jest szalenie atrakcyjna.
- Nie zauważyłem.
- Czyżby?
- No dobrze - przyznał z uśmiechem. - Zauważyłem, ale im więcej Buffy mówi, tym bardziej traci na atrakcyjności.
- Mężczyźni nie lubią elokwentnych kobiet?
- Nie takich jak Buffy - odparł lekkim tonem, ale pytanie Annie przypomniało mu o jej tak zwanym planie. Potrzebowała rad, jak złapać męża i chyba ceniła nawet drobne, niewiele znaczące informacje. - Nadal zamierzasz... eee... zapolować na faceta?

Annie wymownie wzniosła oczy ku niebu.

- Nie ujęłabym tego tak dosadnie, ale owszem, chcę znaleźć życiowego partnera. Nie mam zbyt wiele czasu.
- Wobec tego... pomogę ci, w miarę swoich możliwości. - Wiedział, że nie ma wyboru. Przyjaciele powinni się wspierać, a Annie mogła wpaść w nie lada tarapaty, jeśli będzie zdana wyłącznie na siebie. Nie mógł do tego dopuścić.
- Max, naprawdę nie musisz...
- Muszę - powiedział ostrzej, niż zamierzał. - Niepotrzebnie się zdenerwowałem, gdy wczoraj mnie poprosiłaś. Kurczę, zawsze cię zachęcałem do szczerości, a potem

zachowałam się jak ostatni palant, gdy rzeczywiście mi się zwierzyłaś.

Dostrzegł na jej wargach cień uśmiechu. Oczywiście chciała mu przyznać rację. Co prawda nie była wrogiem mężczyzn, lecz umiała w cięty sposób wytknąć im wady.

Ciekawe, czy babcia Grace wie o problemie Annie?

Max westchnął. Intuicja wciąż mu podpowiadała, że Annie popełnia wielki błąd, a on robi jeszcze większe głupstwo, przykładając do tego rękę.

- Mówiłaś o tej sprawie mojej babci?

- Nie chciałam jej martwić.

- Wpadnie w popłoch, jeśli nagle zaczniesz się inaczej ubierać i zachowywać. - Zerwał kilka kulek zielonego groszku i schrupał je ze smakiem.

- Grace to zniesie. - Annie opłukała stopy wodą płynącą z węza. - Poza tym właśnie ona zachęcała mnie do działania. Rozmawialiśmy o szeryfie. Grace na pewno zaakceptuje wszystko, co postanowię.

Max uniósł brwi. Po co Annie jego pomoc, skoro babcia bierze w tym udział? Zaraz jednak się zmitygował. Grace Hunter była elegancką starszą panią i miała świetny gust, ale nie znała trendów współczesnej mody ani aktualnie obowiązujących zwyczajów towarzyskich.

- Jakie zmiany sugerowała?

- Jej zdaniem powinnam chodzić na randki. Chyba sądzi, że odrzucam wszystkich kawalerów dobijających się do moich drzwi.

Powiedziała to lekkim tonem, lecz Max wyczuł w jej słowach sporo gorzkości. Podobnie jak większość kobiet, Annie pragnęła być piękna i wzbudzać pożądanie. I była

piękna... tylko nie zdawała sobie z tego sprawy. A teraz miała jeszcze problemy zdrowotne.

Mimo sceptycznych zapatrywań na sens życia rodzinnego Max zaczynał rozumieć niepewność Annie. Obawiała się, że utraci istotę swojej kobiecości.

- Nie zmieniałaś zamiaru co do dzisiejszej mszy? Babcia mi mówiła, że odbędzie się jakieś przedstawienie. Ma wielką ochotę je obejrzeć.

- Ja nie pójde, ale zapraszam was później do siebie na lunch.

Ruszyła do domu, a Max westchnął ciężko. Gdyby tylko poprosiła go o coś łatwiejszego... na przykład o renowację wnętrza lub wykonanie kolejnej sadzawki z wodnymi liliami.

Nadal nie wyobrażał sobie swojego udziału w szalonym planie Annie, ale jednego był pewien - podczas jego realizacji z pewnością nie zabraknie chwil, w których pożałuje, że się urodził.

- Nie chcesz niczego z ogrodu? - kolejny raz spytała Annie. - Mam pomidory, groszek, cukinię...

Szczodra natura Annie buntowała się przeciwko wypuszczeniu gościa bez zapasu świeżych warzyw i owoców.

- Annie, ja w ogóle nie gotuję.

- Może chociaż weźmiesz arbuza? Owoce jada się na surowo,

- Niech będzie arbuz - odparł zrezygnowany Max. - Ale mały.

Annie przyniosła trzy wielkie, zielone kawony, sześć złocistych melonów i dwa seledynowe. Max zaprotesto-

wał, lecz gospodyni była nieugięta, więc załadował wszystko do półciężarówki. Annie dołożyła jeszcze kosz pomidorów i ogórków.

- Zanim zaczniemy buszować po eleganckich butikach, musimy wstąpić do mnie - stwierdził Max. - Jeśli zostawimy te zapasy na parkingu, ktoś zaraz je ukradnie.

Annie niezmiernie się zdumiała. Owszem, słyszała o przestępczości w miastach, ale żeby kraść owoce?

- Żartujesz, prawda?

- Skądże. Nie zginie tylko to, co przykujesz łańcuchem. Wierz mi.

Hmm. - Max chyba przesadza, pomyślała. Czasem jeździła do Sacramento i nigdy nie miała żadnych problemów. Widocznie, mieszkając w wielkim mieście, człowiek staje się cynikiem. - Poprowadzisz? - Wyciągnęła do Maxa rękę z kluczykami.

Wziął kluczyki i ku zdumieniu Annie podszedł z nią do drzwiczek od strony pasażera.

- O co chodzi? - spytała zaskoczona.

- Chciałaś wiedzieć, jak zachowywać się w towarzystwie faceta, prawda?

- Tak, ale... - Nie dokończyła, bo Max delikatnie zdjął jej palce z klamki.

- To cholernie staroświeckie, ale lubię pomóc damie wsiąść do auta. Oraz z niego wysiąść.

- Ale mnie nie musisz pomagać. Ciągle sama wsiadam i wysiadam. - Podniosła wzrok i zauważyła smętny uśmiech na twarzy Maxa.

- To sprawa męskiego ego. W towarzystwie bezbronnej kobietki mężczyzna czuje się silny i opiekuńczy. - Od-

garnął z czoła Annie kosmyk włosów i przy okazji musnął gładką skórę.

- Jak mam się zorientować, że mężczyzna chce... eee... mi pomóc?

- Naucz się czytać język ciała. I nie śpiesz się ze wskakiwaniem do samochodu.

- Rozumiem. - Uznała, że to trochę skomplikowane, lecz nie protestowała, gdy Max otworzył drzwiczki, ujął ją za łokieć i podtrzymał. Czowała się trochę niezręcznie, doszła jednak do wniosku, że musi poćwiczyć.

Max usiadł za kierownicą i odsunął nieco fotel, żeby mieć więcej miejsca na nogi.

- Ile lat ma ten pojazd? - spytał po chwili.

- W przyszłym miesiącu skończy trzydzieści. Tata kupił go tuż po moich drugich urodzinach.

- Co za dźwięk. - Max gwizdnął z podziwu, gdy silnik natychmiast zapalił. - Obecnie nie produkuje się takich długowiecznych samochodów.

- Nie jeżdżę aż tak dużo, a w Mitchellton mamy dobrego mechanika. Umie naprawić wszystko.

- Nadal realizujesz zamówienia z dostawą do domu?

- Tak, w soboty. W tygodniu jeden z moich pracowników rozwozi towary swoją ciężarówką, a ja zwracam mu za benzynę.

- Jak sobie radzisz? Przecież nie możesz sama rozładowywać takich ciężkich towarów, jak na przykład bele siana.

- Jasne, że mogę. To dosyć męczące, lecz wykonalne. Max mruknął coś pod nosem.

- Co powiedziałeś?

- Nic.

Annie splótła dłonie na kolanach, usiłując zapanować nad podnieceniem. Max zaproponował, żeby pochodzili po sklepach z damską odzieżą. Centrum handlowe było otwarte, mogli więc odwiedzić sporo butików.

Był upał, a ciężarówka nie miała klimatyzacji, toteż opuścili szyby, żeby owionęło ich nieco chłodniejsze powietrze znad rzecznej delty. Annie poprawiła się na fotelu i z uśmiechem zamknęła oczy. W tej chwili nie chciała myśleć o tykaniu swojego biologicznego zegara ani o wkraczaniu na nieznane terytorium uwodzenia. Na razie miała ochotę rozkoszować się faktem, że ktoś inny, czyli Max, wziął sprawy w swoje ręce.

- Obudź się, śpiochu. - Głos Maxa był miękki jak aksamit.

- Wcale nie spałam. - Annie zamrugała spłoszona.

- Mnie nie nabierzesz.

- Wiem - przyznała markotnie. - To był błąd, prawda? Należało gawędzić.

Zerknął na nią chyba po raz setny od wyjazdu z Mitchellton. Przez całą drogę słodko drzemała, kiwając się z boku na bok, ilekroć auto skręcało lub podskoczyło na wyboju. Wyglądała tak kusząco...

- Jeśli jedziesz z przyjacielem, możesz milczeć - mruknął.

- Tutaj mieszkasz? - Annie odgarnęła włosy z czoła, ziewnęła i przeciągnęła się.

- Tak.

Z zaciekawieniem wodziła wzrokiem po zadbanych trawnikach. Na klombach rosły wyłącznie białe i różowe

petunie, oczywiście w prostych, jakby wytyczonych za pomocą linijki rzędach.

- Ładnie.

Max parsknął śmiechem, słysząc ten komplement. W porównaniu z bujną roślinnością w ogrodzie Annie tutejsza zieleń wyglądała nienaturalnie, wręcz sztucznie. Ale mieszkanie znajdowało się w znakomitym punkcie, a jego rynkowa cena stale rosła.

- A twoje bmw rzeczywiście tu jest. - Annie wskazała auto zaparkowane przed garażem.

Max zauważył je dopiero teraz i trochę go to zaniepokoiło. Widocznie tak bardzo przejął się planami Annie, że głowa przestała mu funkcjonować jak należy.

- Dasz mi parę minut na szybki prysznic i zmianę ubrania? Weźmiemy mój wóz, dobrze?

- Oczywiście. - Annie sięgnęła do kłamki i niemal podskoczyła, gdy Max znacząco chrząknął.

- Szybko się uczysz - stwierdził, pomagając jej wsiąść.

- Nie wymądrzaj się. Nadal pamiętam, jak ponad dwadzieścia lat temu założyłeś się, że wypijesz butelkę cytrynowki. Upiłeś się do nieprzytomności.

- O, Jezu. Chyba nie powiedziałaś o tym Grace?

- Jeszcze nie.

- Tylko spróbuj, bachorze - mruknął, biorąc pudło z arbusami. - Zaraz to wezmę - dodał, gdy Annie sięgnęła po kosz.

- Sama mogę zanieść.

- Lepiej otwórz drzwi. - Poruszył trzymanymi w palcach kluczami, a ona wzięła je, zabawnie marszcząc nos.

Poszła przodem, a Max postanowił, że nie pozwoli jej się zbyt zmienić. Powinna tylko kupić trochę wystrzałowych ciuchów i zacząć bardziej o siebie dbać. Koniec z tym dźwiganiem ciężkich towarów i harówką za dwóch chłopów.

Właśnie.

Wszystko na pewno będzie dobrze.

- Co powiesz na tę? - Annie uniosła sukienkę uszytą z mniejszej ilości tkaniny niż jego krawaty.

Max skrzywił się z niesmakiem.

Wszystko szło nie tak.

Annie dotychczas przymierzyła dziesięć sukienek, a on uznał każdą bez wyjątku za okropną. Były albo za krótkie, albo za skromne, albo zbyt śmiałe. Gdyby pokazała się w którejś z nich w Mitchellton, aresztowano by ją za obrazę moralności.

- Max, nic ci się nie podoba. - Annie musiała w duchu przyznać, że jej też na razie nic nie zachwycało i zaczynała mieć dosyć tego miotania się w przymierzalni. Nie chciała jednak wrócić do domu z pustymi rękoma.

Ekspedientki nie okazały się zbyt pomocne. Zamiast jej coś doradzić, bez przerwy mizdrzyły się do Maxa. Całe szczęście, że on je zupełnie ignorował.

- Może zajrzemy do tego sklepu, który mijaliśmy? - spytała. - Tego po przeciwnej stronie. - Pamiętała, że na wystawie wisiało tam kilka ładnych ciuszków.

- No, to chodźmy.

Annie energicznie chwyciła torebkę. Gdyby nie zmęczenie, chyba parsknęłaby śmiechem na widok rozczar-

wanych min sprzedawczyń. Nie dość, że traciły z oka za-
bójczo przystojnego mężczyznę, to na dodatek niczego nie
sprzedały.

Kolejny butik wyglądał skromniej niż poprzedni, a wi-
sząca na wieszakach odzież była w spokojniejszym, bar-
dziej kobiecym stylu.

Sprzedawczyni imieniem Shelley, chyba w piątym mie-
siącu ciąży, grzecznie uśmiechnęła się i zaraz skupiła całą
uwagę na Annie.

- Czym mogę służyć?

- Przydałoby mi się kilka sukienek. - Annie wymow-
nym gestem wskazała swoje workowate džinsy i podko-
szulek.

Shelley obrzuciła klientkę taksującym spojrzeniem, ski-
nęła głową i ruszyła między stojaki, po drodze zdejmując z
wieszaków różne rzeczy. Annie i Max deptali jej po piętach.

- Niech to będzie pełna metamorfoza - pogodnie zas-
ugerowała Shelley, zatrzymując się przed pięknie wyeks-
ponowaną bielizną.

Annie przystanęła tak raptownie, że Max na nią wpadł.
Zarumieniła się na myśl, że będzie aż tak dobrze znał jej
ubrania.

- Założę się, że nosi pani rozmiar osiemdziesiąt pięć
B, prawda? - Na palcu Shelley dyndał skąpy staniczek
w brzoskwiowym kolorze,

Annie gwałtownie wciągnęła powietrze i tylko dzięki
silnej woli nie skrzyżowała ramion na biuście.

- Tak - potwierdziła i jednocześnie wyczuła, że Max
jakby zeszywniał.

- Proszę więc to przymierzyć. - Shelley podała jej naręcze ciuszków.

Annie z ulgą znikła w przymierzalni, ale nie odmówiła sobie dyskretnego zerknięcia na Maxa. Stał w rozkroku i miał zaciśnięte pięści, jakby spodziewał się ataku. W otoczeniu koronkowych i atlasowych fatalaszków wydawał się bardziej nie na miejscu niż słoń w składzie porcelany.

- Proszę się nie martwić - szepnęła Shelley, klepiąc Annie po ramieniu. - Mężczyźni nie znoszą, jak się ich ciąga po sklepach, taka już ich natura.

Annie jeszcze raz wyjrzała zza zasłony i zachichotała na widok miny Maxa. Zawsze taki pewny siebie, tym razem był zakłopotany! Dodało jej to śmiałości, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego.

No, to do dzieła.

- Zmierzy pani ten staniczek?

- Czemu nie. - Annie wzięła atlasowe cudo, Było o niebo piękniejsze od skromnej, bawełnianej bielizny, którą zazwyczaj kupowała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wiedziałam, że będzie leżał jak ulał - stwierdziła Shelley.

- Rzeczywiście ładne, ale czy nie jest zanadto... - Annie zamilkła zakłopotana. Obie kobiety roześmiały się perliście.

Max spiorunował wzrokiem zasłonę przy mierzalni i zaraz się rozchmurzył. Dochodząca zza niej paplanina i chichoty dowodziły, że Annie i ekspedientka przypadły sobie do gustu.

To dobrze, bo zauważył, że po twarzy Annie przemknął cień smutku, gdy spojrzała na wypukły brzuch sprzedawczyni. A bezwiedne westchnienie Annie sprawiło, że Max naprawdę się zmartwił. Nie umiał okazywać uczuć ani pocieszać dobrym słowem. Może dlatego, że zbyt często był świadkiem gwałtownych kłótni swoich rodziców z ich kolejnymi współmałżonkami.

Jednak Annie nigdy się nie awanturowała, a jeśli już wpadała w furję, to wyłącznie z bardzo istotnego powodu.

Max znów się zafrasował, ponieważ tym razem najważniejszą kwestią dla Annie stało się wyjście za mąż i urodzenie dziecka.

- Co o tym sądzisz, Max?

Podniósł wzrok i zamrugął, gdy wyłoniła się z przy-
mierzami.

- Śliczna, prawda? - Annie uniosła ręce i wykonała
piruet. Nie ulegało wątpliwości, że czuje się doskonale
w nowym stroju. Uszyta z lejącego materiału sukienka
miętko przylegała do krągłości ciała.

Ta sukienka subtelnie prowokowała mężczyznę swoją
pozorną skromnością. Była na całej długości zapinana na
drobne, perłowe guziczki, zaś półokrągły dekolt sięgał aż do
wypukłości piersi. A co gorsza, półprzezroczysta tkanina
ujawniała kształt sylwetki. Max widział zarys smukłych
ud...

Na widok kobiety w takim stroju mężczyzna natychmiast
zaczyna się zastanawiać, jak ją rozebrać, jak rozpiąć te ma-
lutkie guziczki. Max nie chciał, aby jakikolwiek facet my-
ślał w ten sposób o Annie. Była zbyt naiwna i niewinna, aby
skutecznie się bronić.

- Powinnaś włożyć halkę - burknął i na widok rozcza-
rowanego spojrzenia Annie poczuł się jak idiota. Owszem,
miał jej pomóc, ale najchętniej odziałby ją w worek po mą-
ce i zawlókł z powrotem do Mitchelton. Do tej nudnej,
bezpiecznej, zabitej dechami dziury. Że też wcześniej nie
odkrył niezaprzeczalnych zalet małych miasteczek.

- Shelley, Max mówi, że lepiej włożyć halkę.

- Jest w błędzie - tonem nie znoszącym sprzeciwu
oznajmiła sprzedawczyni i posłała Maxowi groźne spoj-
rzenie. - Nie nosi się halki pod kloszowe spódnice. Poza
tym byłoby ją widać przez to rozcięcie z przodu.

Rozcięcie?

Maxowi zrobiło się gorąco, gdy Annie rozpostarła sze-

roki dół, aby przyjrzeć się owemu rozcięciu. Sukienka rzeczywiście była zapięta tylko do połowy uda, a Annie wcale nie przejęła się tym, że Max gapi się na jej gołe nogi.

- Więc trzeba zapiąć resztę tych guzików - warknął.

- Ma zostać właśnie tak - podobnym tonem odparła Shelley i znów łypnęła na niego gniewnie.

Kiedy indziej pewnie by się wkurzył, ponieważ przywykł do posłuchu, lecz tym razem był zbyt speszony, więc poprzestał na przyglądaniu się udom Annie. A ta sukienka, na pierwszy rzut oka taka skromniutka i staroświecka, wydawała mu się coraz bardziej wyzywająca.

- Zapnij chociaż kilka - zaproponował ugodowo. -

Wiesz, jakim konserwatywnym miastem jest Mitchellton.

- To rozcięcie ujawnia dużo mniej niż para szortów. -
Na twarzy Annie pojawił się wyraz upor.

- To co innego.

- Wcale nie. - Annie odwróciła się do lustra i z przyjemnością popatrzyła na swoje odbicie. Wyglądała kobieco i naprawdę ładnie. Dlaczego więc nie podobała się Maxowi?

Chętnie kopnęłaby go w kostkę.

Przecież to rozcięcie wcale nie rzuca się w oczy. Suknie, które mierzyła w poprzednim sklepie, miały o wiele bardziej śmiałe fasony. Nadawały się raczej dla aktorek lub modelek, a nie dla kobiet prowadzących normalne życie.

Ta sukienka była ładna i Annie dobrze się w niej czuła, lecz Max jej nie akceptował, a on znał się na modzie i wiedział, co podoba się mężczyznom.

- No dobrze, wezmę coś innego. - Annie z żalem pogładziła miękką tkaninę.

- Nie.

Obie kobiety drgnęły, zaskoczone głośno wyrażonym protestem i spojrzały na Maxa ze zdumieniem.

- Kup ją. Nie jest aż taka zła - mruknął.

- Lecz skoro tobie się nie podoba...

- Podoba mi się.

Max zgrzytnął zębami, a Annie zrozumiała powody jego frustracji. Biedak pewnie nie przypuszczał, że całą niedzielę będzie chodził po sklepach i oglądał babskie fatalaszki.

- Doskonale. - Shelley odzyskała dobry humor. - To dopiero pierwszy krok. Poszukajmy teraz czegoś bardziej kolorowego.

Annie natychmiast poweselała. Uznała też, że dopóki Max jej pomaga, może sobie być nawet naburmuszony. Miał do tego prawo, skoro tak się dla niej poświęcał.

- Dzięki za wszystko, Max. - Cmoknęła go w policzek. - Jesteś cudowny.

Max bezsilnie oparł się o ścianę, gdy Annie pomknęła między regały, a Shelley poszła za nią, lecz najpierw rzuciła Maxowi uważne spojrzenie.

- Może spróbuje pan być ciut bardziej przyjacielski - zasugerowała słodkim tonem. - Zgoda?

Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy?

- Shelley! - zawołała Annie. - Ma pani staniczki z za pięciem z przodu? Zawsze chciałam przymierzyć coś takiego.

Staniczki z zapięciem z przodu? Max jęknął w duchu. Koszmar dopiero się zaczynał.

W drodze do mieszkania Maxa Annie cały czas radośnie nuciła. Kupiła zdumiewająco dużo fatalasek. Między innymi dwie nocne koszulki, zupełnie przejrzyste. Miała też mnóstwo nowej bielizny, ślicznej, seksownej... i całkiem niepraktycznej.

Max usiłował zapłacić za wszystko. Argumentował, że . byłąby to forma przeprosin, lecz Annie nie zgodziła się. I tak zrobił dużo, godząc się udzielić jej kilku porad.

Teraz w milczeniu pomagał przenieść zakupy do samochodu Annie.

- Wielkie dzięki, Max, za poświęcenie czasu. Jestem twoją dozągonną dłużniczką.

- Nie pleć. Przyjadę w sobotę wieczorem, przećwiczmy tę próbną randkę.

- Och, nie trzeba - zapewniła pośpiesznie. - Naprawdę nie musisz tego robić.

- Ale chcę.

- Już i tak zmarnowałaś przeze mnie mnóstwo cennego czasu - odparła zirytowanym tonem. Dlaczego była taka rozdrażniona, chociaż to zupełnie nie w jej stylu? Dopiero zamierzała zająć w ciążę, więc jeszcze nie mogła zwalić winy na szalejące hormony. - Nie powinnam bardziej cię absorbować.

- Przecież powiedziałem, że pomogę ci zrealizować ten twój szalony plan!

- Nie jest szalony!

- Właśnie że tak! - ryknął Max.

Przez chwilę zmagala się z uczuciem rozżalenia i gniewu, lecz jednocześnie rozumiała przyczyny zachowania Maxa. Słowo „małżeństwo” zawsze działało na niego jak

czerwona płachta na byka. Owszem, zgodził się pomóc swojej przyjaciółce, lecz to wcale nie oznaczało, że zmienił zapatrywania na instytucję małżeństwa.

Z sąsiedniego garażu wyjrzał jakiś mężczyzna i zaczął się im przyglądać.

Annie buntowniczo wysunęła brodę i zmierzyła gapiącego się na nich osobnika groźnym spojrzeniem, on zaś szybko się wycofał. Mas nagle się rozpozogdził.

- Przepraszam - zamruczał, głaszcząc ją po policzku.
- Jestem beznadziejnym frajerem.

Myśli Annie natychmiast rozpiechły się na wszystkie strony. Nie potrafiła ich zebrać, gdy Max patrzył na nią tak ciepło. Pewnie byłaby mniej podatna na jego urok, gdyby dawno temu Max ją pocałował. Coś takiego mogłoby podziałać jak szczepionka przeciw grypie, która nie chroni człowieka w stu procentach, lecz zwiększa odporność.

- To co... pójdziemy na tę randkę? - przymilnym tonem spytał Max.

- Dobrze. I wcale nie jesteś frajerem.
- Uwielbiasz się ze mną kłócić, co?

Max powiedział to żartobliwym tonem, lecz Annie usłyszała nutę irytacji.

- Jasne, jak mogłabym zapomnieć? Nie lubisz kobiet, które mają własne zdanie. To cecha wszystkich panów czy tylko twoja?

Max zrobił krok wstecz, a ona poczuła, że dzieje się z nią coś niepokojącego. Im bardziej uświadamiała sobie swoją kobiecość, tym bardziej Max podobał jej się jako mężczyzna. Niedobrze. Nie chciała interesować się Maxem. Powinna skupić się na realizacji zasadniczego celu.

- Tylko żartowałem.
- Ale ty naprawdę nie... - Urwała, ponieważ Max przykrył jej wargi dłonią.
- Dajmy sobie z tym spokój, Annie. Do zobaczenia w sobotę. O siódmej?
- Może być o siódmej - mruknęła, pragnąc jak najszybciej znaleźć się gdziekolwiek, byle daleko od Maxa. - To na razie.

Max w milczeniu ujął ją za łokieć i pomógł wsiąść do szoferki. Annie całkiem zapomniała o tym drobnym, męsko- damskim rytuale i jeszcze bardziej się stropiła. Na szczęście Max zaraz zatrzasnął drzwiczki i odsunął się.

- Jestem idiotką - mruknęła, gdy w końcu wyjechała za miasto.

Zatrzymała auto na poboczu i wlepiła wzrok w zakurzoną deskę rozdzielczą, wyrzucając sobie, że poprosiła Maxa o pomoc. Palnęła największe głupstwo w życiu. Max był takim pociągającym mężczyzną, że w porównaniu z nim wszyscy pozostali wydawali się nijacy. Jak więc miała się w kimś zakochać, skoro tuż obok znajdował się Max? To tak, jakby prosić dziecko o zjedzenie na obiad zdrowych brokuł, gdy w zasięgu ręki była pyszna czekolada.

Annie nagle odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła niepohamowanym śmiechem.

- Ach, ty - mruknęła rozbawiona do siebie. - Jak zwykle przesadzasz.

Nie było to nic nowego. Jej ojciec często powtarzał, że Annie przejawia skłonności do nadmiernego dramatyzowania. Nie powinna tak się wszystkim przejmować. Max

będzie jej towarzyszył tylko we wstępnej fazie realizacji planu. Tej instruktazowej, a później zniknie z pola widzenia.

Poza tym istnieje wielka różnica między miłością, przyjaźnią i pożądaniem. Ona i Max byli tylko dobrymi przyjaciółmi. Cóż z tego, że Max czasem działa na nią tak podniecająco. To się zmieni, gdy jakiś mężczyzna godny wielkich uczuć zawładnie jej sercem.

Tak właśnie będzie.

Annie z przekonaniem kiwnęła głową i znów wyjechała na drogę. Zamierzała osiągnąć swój cel.

W sobotę dokładnie o osiemnastej pięćdziesiąt siedem Annie spojrzała na swoje odbicie w lustrze i uśmiechnęła się zachwycona. Nigdy w życiu nie wyglądała lepiej.

Przez cały miniony tydzień świetnie się bawiła. W poniedziałek włożyła jeden z nowych strojów- obcisłe džinsy i skąpą bluzeczkę na cieniotkich ramiączkach. Gdy maszerowała przez parking, Darnell i jego kolega aż gwizdnęli na jej widok.

We wtorek stary Morris Jeppers zjechał na pobocze, bo zagapił się na nią, gdy szła na pocztę. Jego żona śmiała się do rozpuku i wszystko opowiedziała Annie.

Reszta tygodnia obfitowała w podobne incydenty. Annie jeszcze nie widziała ani nowego nauczyciela, ani szeryfa, lecz spodziewała się, że pozna ich jutro po mszy. Na razie zaś musiała jakoś przetrwać randkę z Maxem.

- Oczywiście to nie będzie prawdziwa randka - mruknęła, wyglądając brew czubkiem palca. - Tylko coś w rodzaju ćwiczeń.

Zabrzączał dzwonek, więc zbiegła na dół tak szybko,

jak pozwalały jej wysokie obcasy nowych pantofli, i otworzyła drzwi na oścież.

- Max - powiedziała prawie bez tchu - strasznie cię przepraszam. Miałam czekać na zewnątrz...

Max gapił się na nią z taką miną, jakby właśnie dostał cios w żołądek. Sukienka z szafirowego aksamitu miała wyrafinowany, prosty krój, a jedyną ozdobę stanowiły cieniutkie paseczki krzyżujące się na dekolcie i odkrytych ramionach. Ciemnoniebieski kolor podkreślał barwę oczu Annie i sprawiał, że jej skóra nabrała lekkiego perłowego połysku.

- Przepraszam, Max - powtórzyła Annie.

- Nie pleć głupstw. - Jego głos zabrzmiał chrapliwie.

- Ale powinnam była wyjść i...

- Wcale nie. - Max z trudem wziął się w garść. Lekcja pierwsza na temat randki: twój partner ma przyjść po ciebie do domu.

- To chyba niegrzecznie. - Annie lekko wydeła usta, zdziwiona sugestią Maxa.

- Osoba, z którą się umówiłaś, nie powinna uważać, że jesteś zanadto chętna.

- A jeśli naprawdę się cieszę? Co się stanie, jeśli mężczyzna to zauważy? Takie gierki nie mają sensu.

Max nie był w nastroju do wyjaśniania Annie, jak pokrętnymi ścieżkami chadza umysł mężczyzny. Wolał też nie mówić o pierwotnych instynktach stymulujących popęd seksualny.

Bezwiednie westchnął. Jeśli miał być szczery, to wcale nie chciał, aby Annie stała się biegłą w odwiecznej grze prowadzonej przez kobiety i mężczyzn.

- Tak już jest i kropka - burknął. - Jasne?
- Tak - mruknęła bez entuzjazmu, a Mas ponownie westchnął.
- No dobrze, niektóre rzeczy wydadzą ci się śmieszne - przyznał, bezradnie rozkładając ręce.

Czuł, że szkolenie Annie będzie zajęciem edukacyjnym również dla niego. Nic dziwnego, że pewne wzorce zachowań obowiązujące w kontaktach męsko-damskich budziły jej zdrowy sprzeciw. Postrzegane oczami takiego niewinnego stworzenia, naprawdę wydawały się idiotyczne.

- Och, jakie śliczne. - Annie z zachwytem popatrzyła na bukiet, który Max podsunął jej pod nos. - Lepiej zanieś je Grace, zanim pojedziemy.

Max całkiem zapomniał o różach, które przez cały czas trzymał za plecami i teraz przez chwilę gapił się na nie z głupią miną. Ta randka nie zaczęła się jak należy. Zawsze miał maniery światowca, a tym razem zachowywał się jak zakłopotany sztubak, który nie pamięta o wręczeniu dziewczynie kwiatów. Co za gafa.

Tyle tylko, że Annie chyba naprawdę sądziła, że przywiózł te róże dla babci.

- Są dla ciebie - oznajmił względnie spokojnym tonem.
- Serio? - Annie uroczym zarumieniała i wzięła bukiet z takim nabożnym szacunkiem, jakby każda róża była dziesięciokaratowym brylantem. - Jeszcze nigdy nie dostałam kwiatów. Wstawię je do wody.

Pośpieszyła do kuchni, powtarzając w myśli, że te kwiaty to tylko część randki na niby. Max przyniósł je wyłącznie w celach szkoleniowych.

Nalewając wodę do porcelanowego wazonu, przypo-

mniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, marzyła o takiej chwili. Delikatnie pogłaskała aksamitne płatki i pochyliła się, wdychając słodki zapach.

Dlaczego róże są takie romantyczne?

- Zapomniałem coś ci powiedzieć, Annie.
- Co?
- Wyglądasz pięknie.
- Och... dziękuję- szepnęła.

Annie uśmiechnęła się z wysiłkiem. Musiała pamiętać, że jest to tylko spotkanie w celach szkoleniowych. Ale byłoby cudownie, gdyby Maxowi naprawdę na niej zależało, gdyby pragnął, aby połączyło ich coś więcej niż przyjaźń...

Idiotka z ciebie, zganiła się w duchu.

Jasne, że idiotka. Max na pewno nie spojrzy na nią innym okiem niż do tej pory. Był niesamowicie atrakcyjnym facetem, o którego były się chyba wszystkie niezamężne dziewczyny w Sacramento.

Ale czy one widzą w nim to co ona? Czy dostrzegają nie tylko przystojną twarz i wspaniałą sylwetkę, lecz również siłę jego ramion i błysk humoru w jego oczach, zawsze nieco przymglony czającym się smutkiem? Max był energiczny i lubił się śmiać, ale Annie wiedziała swoje.

- Jesteś gotowa?
- Oczywiście. Przepraszam, że kazałam ci czekać.

Max nie cierpiał tego jej uprzejmego tonu. Tysiąc razy wołał słodkie zdumienie, jakie odmalowało się na jej twarzy, gdy powiedział komplement. I zaraz potem, zaledwie w kilka sekund, urocza Annie zmieniła się w kogoś zupełnie obcego.

- Drobiazg - zapewnił z uśmiechem. - Później chyba będzie chłodno, może weźmiesz jakiś sweter?

- Nie zmarznę.

Uznał, że najwyżej da jej swoją marynarkę. Wyszli z domu. Annie nie zamknęła drzwi na klucz, tylko ruszyła prosto do bmw. Szła lekko kołysząc biodrami, może z powodu nowych sandałów na wysokich obcasach.

Max skinął głową, wmawiając sobie, że się cieszy. Annie wzięła sprawy w swoje ręce, nawet zrobiła delikatny makijaż. Ze swoją jasną, gładką cerą nie musiała zanadto się pacykować.

- Tak sobie myślę... to chyba niedobrze, że zostawiłaś otwarty dom - mruknął, usiłując nie zwracać uwagi na jej pełne usta.

- W Mitchellton nikt nie zamyka drzwi na klucz. Wiedział, że w małych miasteczkach ludzie nadal czują się bezpieczni. Ale przestępstwa popełniano wszędzie, również w takich dziurach.

- Chcę, żebyś je zamykała - oświadczył z naciskiem. - I masz mi obiecać, że będziesz to robić zawsze, również przed pójściem spać.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Daj słowo, Annie. - Zauważył jej zdumienie, lecz wcale się nim nie przejął. Swoją babcię już zdołał przekonać do zamykania domu, więc teraz kolej na Annie.

Dobrze, ale najpierw muszę dorobić klucz. Stary zginął parę lat temu - przyznała, wruszając ramionami.

No jasne. Max prychnął sfrustrowany.

- Jutro założę u ciebie nowe zamki i sprawdzę okna.

- Sama mogę się tym zająć, Max.
- Ja też.
- Nie przesadzaj - zaprotestowała. - Traktujesz mnie jak bezradne dziecko. Umiem zadbać o siebie i swoje sprawy. Robię to od wielu lat.

- Nie powiedziałem, że nie potrafisz. - Otworzył drzwiczki auta i podał jej rękę. Annie dotknęła jego palców z wyniosłością wielkiej księżnej i wsiadła. Zanim jednak wygładziła dół sukienki, Max zobaczył prawie całe zgrabne uda i zgrzytnął zębami. W ciągu kilku dni Annie przesłała daleką drogę od workowatych dżinsów do cienkich jak mgiełka, jedwabnych pończoch. Nie miał pojęcia, dlaczego wcześniej nie zauważył, że nogi Annie są nieskończenie długie. Teraz wciąż patrzył tylko na nie.

Czyżby, frajerze? A nie gapisz się również na jej biust?

Miał wrażenie, że zaraz się udławi, więc przełknął ślinę i usiadł za kierownicą. Annie była dla niego nieosiągalna. Umówił się z nią tylko dlatego, żeby jej pokazać, jak powinna przebiegać randka.

- Dobrze się czujesz, Max? - Annie obrzuciła go z troskanym spojrzeniem.

- Tak, a bo co?

- Chyba jesteś trochę... zestresowany.

Było o wiele gorzej, lecz mówienie o tym nie wchodziło w grę.

- To był męczący tydzień.

- Hmm. Może upichcę dla nas jakiś obiad?

- Gotowałam w poprzednią sobotę. A poza tym to jest randka.

- Na niby.

- Oczywiście - mruknął zirytowany. Czy ona bezustannie musi o tym przypominać? Przecież wiedział, że to tylko zajęcia szkoleniowe. Annie ćwiczyła na nim swoje kobiece sztuczki, żeby później szybko złapać męża.

Na widok miny Maxa Annie omal się nie roześmiała, lecz jednocześnie zrobiło się jej smutno. Zwierzyła się Maxowi z rzeczy, o których nigdy nikomu nie mówiła. Czy po tym wszystkim będą czuć się w swoim towarzystwie swobodnie?

- Nadal lubisz włoskie potrawy?
- Uwielbiam.
- Świetnie. - Max wyjechał z podwórka. - W zabytkowej części Sacramento jest restauracja, gdzie poczujesz się jak w siódmym niebie.

Annie powolutku wypuściła z płuc powietrze i pogłaskała miękkiego aksamitu na swoich kolanach. Już czuła się zupełnie inaczej niż zwykle, i to nie tylko z powodu nowego stroju oraz koronkowych podwiązek. Po raz pierwszy miała poczucie własnej kobiecości. Było dziwne, wspaniałe i jednocześnie trochę przerażające.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- I co powiesz?
 - Miałeś rację. - Annie przez moment rozkoszowała się ostatnim kęsem deseru. - Jestem w siódmym niebie.
- Max uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem. Kto by przypuszczał, że Annie jest taka zmysłowa. Jadła z prawdziwym apetytem, a sposób, w jaki oblizywała widelczyk, był wręcz nieprzyzwoity.
- Może zacznę robić podobne ciasto na niedzielny poczęstunek po mszy.
 - Kościół nie nałoży na ciebie ekskomuniki za taką ilość alkoholu?
 - Wątpię. Żona pastora podaje rumowe ciasto, które zwała z nóg.
 - Idzie do głowy?
 - Jeszcze jak. - Annie parsknęła śmiechem. - Musimy uważać, żeby nie podchodzić z talerzykami do zapalonych świec, bo mielibyśmy płonący przysmak.
 - Władze kościelne akceptują taką rozpustę?
 - Tak. Rada tylko dyskretnie zasugerowała, aby na karnawałowy jarmark ciast pani pastorowa upiekła coś łagodniejszego, bo nie uchodzi, żeby dochody z pijaństwa przeznaczano na finansowanie potrzeb szkoły.

- O ile pamiętam, dawniej karnawał miał nieco jarmarczny charakter.

- Nadal tak jest i dlatego go uwielbiamy. Typowa małomiasteczkowa atrakcja.

- Uhm. - Max wolał nie wdawać się w dyskusję na temat małych miasteczek. Zawsze budziły jego mieszane uczucia z przewagą negatywnych, toteż zaraz po osiągnięciu pełnoletniości - postanowił wyjechać z Mitchellton.

- Podczas każdego karnawału przydzielano mnie do budki z hot dogami, a ja chciałam sprzedawać pocałunki - z wyrazem rozmarzenia na twarzy przyznała Annie.

- Nieprawda.

Annie kapryśnie wyduła wargi, a Max oniemiał z wrażenia. Przecież ona nigdy się nie dąsała, uważała to za stratę czasu.

- Wiem, czego pragnęłam - odparła zirytowana. - Może nikt nie miałby ochoty mnie całować, ale miło chociaż pomarzyć.

- Robienie hot dogów to przyzwoite zajęcie - mruknął. - A w fartuszkach wyglądałaś ślicznie.

- Litości! - Annie przewróciła oczami. - To był fartuch rzeźnika i zasłaniał mnie od szyi po kolana. Czułam się w nim jak mumia. Zresztą ty tego i tak nie zauważałaś. Hot dogi cię nie interesowały.

Max przyglądał się jej ze zdziwieniem. Nigdy by nie zgadł, że chętnie pozwoliłaby się obcałowywać podczas karnawałowych zabaw. Annie to przecież... Annie... Jakie to dziwne, pomyślał. Przez tyle lat mieszkali po sąsiedzku, a ich życie tak bardzo się różniło.

- Jestem pewien, że chłopcy ustawialiby się w kolejce,

aby cię pocałować - powiedział cicho. - Masz cudowne usta. - Zbyt cudowne, dodał w duchu. Takie, które prowokują mężczyznę do popełnienia głupstwa.

-Eee... dziękuję - wybąkała Annie, najwyraźniej miło zaskoczona.

- Wiesz co? W tym roku pójdziemy razem na karnawałową zabawę. Nowy nauczyciel na pewno też się zjawi.

- Och, tak. Bardzo pomaga przy organizowaniu wszystkich imprez w miasteczku.

- W takim razie zaaranżuję wasze spotkanie.

- Dobrze. - Zgarnęła z talerzyka resztę bitej śmietany i zaczęła delikatnie zlizywać ją z czubka palca.

Siedzący przy stoliku obok mężczyzna obserwował Annie jak zaczarowany, podobnie jak kelner, który przez cały wieczór bezczelnie z nią flirtował. Max tak długo mierzył ich obu groźnym spojrzeniem, aż się zmieszali i pośpiesznie popatrzyli w inną stronę.

- Proszę... zjedz moją porcję. - Przyniósł Annie swój talerzyk.

- Nie masz ochoty?

- Zaraz pękne. Zamówiłem ten wielki kotlet, nie pamiętasz?

- Pycha. W domu rzadko przygotowuję desery, ale ten jest boski.

- Zawsze do usług. - Max poruszył się niespokojnie. Nie powinien tak reagować na bliskość Annie. Znał ją od dziecka i zawsze sądził, że jest fantastyczna, ale nie dostrzegwał w niej zmysłowej kobiety.

To pewnie ta sukienka. Annie jakimś cudem znalazła strój, który podkreślał jej niewinność i jednocześnie był

ostatnim krzykiem mody. Annie wyglądała w tej kreacji wspaniale. Zbyt pięknie i podniecająco, aby Max mógł to zignorować.

- Często tu jadasz? - spytała.

- Słucham? - Max przywołał się do porządku. - Czasami. Eee... nie kupiłaś tej sukienki w zeszłą niedzielę. Pewnie znów pojechałaś po zakupy. - Była to banalna uwaga, lecz w tej chwili nie stać go było na więcej.

- Tak. - Annie wypięła łyk kawy. - Wiedziałam, że będzie zbyt strojna - przyznała, patrząc na miękki aksamit - ale nie mogłam się jej oprzeć. Poza tym uznałam, że przyda się na dzisiejszy wieczór, bo ty z pewnością bywasz w bardziej eleganckich restauracjach niż te w okolicy Mitchelton.

- Nie spodziewasz się, że twój nauczyciel lub szeryf zabiorą cię na elegancką kolację?

- Nie... nie to chciałam powiedzieć. - Policzki Annie lekko się zaróżowiły. - Zresztą oni wcale nie są moi i chciałabym, żeby... żeby tylko jeden... - Urwała zakłopotana.

- Tak? - Max pochylił się w jej stronę.

- Po prostu pragnę się zakochać. Ze wzajemnością. Już ci to mówiłam.

- Oczywiście.

Annie zastanawiała się, dlaczego Max przygląda się jej w takim napięciu. Jak dotąd czas mijał bardzo przyjemnie, a ona nie powiedziała ani nie zrobiła nic niewłaściwego. Przecież Max nie wytknął jej żadnego potknięcia.

Do ich stolika podszedł kelner i położył na blacie rachunek.

- Ciastko pani smakowało? - spytał z miłym uśmiechem i westchnął.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ Max uderzył o blat kartą kredytową.

- Proszę - warknął.

- Na litość boską, Max. Zachowujesz się jak ranny nosorożec - karcącym tonem stwierdziła Annie, gdy kelner odszedł. - Jeśli nie miałeś ochoty na tę eskapadę, to trzeba było się zgodzić na kolację u mnie. Proponowałam, że coś ugotuję.

- Nie podobało mi się, jak ten facet na ciebie patrzy. - Max zmierzył ją ponurym spojrzeniem.

- Stara się być miły.

- Nie znoszę, gdy ktoś gapi się na towarzyszącą mi dziewczynę.

Annie szerzej otworzyła oczy ze zdumienia. Gdyby usłyszała coś takiego od innego mężczyzny, uznałaby, że przemawia przez niego zazdrość. Ale Max? Nawet i za sto lat nie będzie zazdrosny. Zwłaszcza o nią.

I nagle pojęła, w czym rzecz.

- Och, już wiem - stwierdziła ze śmiechem. - Chciałeś mi uświadomić, że mężczyźni bywają zazdrośni o kelnera? Często wam się to zdarza?

Max z pewnym opóźnieniem zrozumiał, że Annie uznała jego zachowanie za kolejny etap udzielanych lekcji. I nie był pewien, co powinien poczuć, ulgę czy raczej przyływ frustracji.

- Czasami - odparł krótko.

- Jak mam na to reagować?

Milczał, usiłując wymyślić coś sensownego. Prawdę

mówiąc, chyba pierwszy raz w życiu wkurzył się na kelnera z takiego błahego powodu. Oczywiście nie był zazdrosny...

- No więc... - zaczął niezdecydowanie i odchrząknął, a Annie uśmiechnęła się figlarnie.

- Wybacz, Max - zamruczała zmysłowo i zaczęła głaskać jego nadgarstek palcem. - Naprawdę nie zauważyłam, że on zwraca na mnie szczególną uwagę. Nie gniewaj się. - Zmarszczyła zabawnie nos. - Jezu, ale głupio to zabrzmiało. Chyba muszę więcej poćwiczyć.

Spojrzał na jej palec i skonstatował, że gdyby zafundowała taką pieśczętę owemu szeryfowi lub nauczycielowi, każdy z nich natychmiast wywłókłby ją z restauracji i zaciągnął do najbliższego łóżka.

Max westchnął, rozjątrzony swoją ślepotą. Jak mógł dopiero teraz zauważyć, że Annie jest taka piękna i zmysłowa?

- Nie, powiedziałaś dokładnie to, co trzeba - mruknął, podpisując rachunek podsunęty przez tego samego kelnera. Tym razem powstrzymał się od komentarzy. Lubił tę restaurację i nie chciał zostać uznany za kłopotliwego i niepożądanego gościa.

- Dawno nie byłam na Starym Mieście. Może się przejdziemy? - zaproponowała Annie, gdy wyszli na zewnątrz.

- Chętnie. - Wsunął jej dłoń pod swoje ramię i ruszyli spacerowym krokiem po drewnianym chodniku. Słońce już zaszło i tylko wąski skrawek nieba na zachodzie był lekko rozjarzony, lecz na ulicy paliły się staroświeckie latarnie z kutego żelaza.

- Czegoś tu nie rozumiem, Max. Jeśli kobieta umawia

się z tobą, te znaczy, że cię lubi, więc to chyba bez znaczenia, gdy ktoś inny zwraca na nią uwagę, prawda? - Annie patrzyła pod nogi, ponieważ właśnie wyszli na wyłożony nierównymi płytami nadrzeczny bulwar.

- Cóż, mężczyźni bywają zaborczy - przyznał Max.
- Ale nie tylko oni. Kobiety też są zazdrosne.

Święte słowa, pomyślała Annie. Przecież sama miała przemożną ochotę dać w ucho tym ładnym kelnerkom, które śliniły się na widok Maxa. I strasznie się zdenerwowała, gdy flirtowały z nim sprzedawczynie podczas wizyty w eleganckim butik.

Ona oczywiście nie miała prawa być o niego zazdrosna, on zaś z pewnością nie planował ożenku. Był urodzonym samotnikiem i zaprzysięgłym kawalerem. Oboje mogli więc do końca życia pozostać dobrymi przyjaciółmi.

Zatopiona w rozważaniach Annie potknęła się, a Max natychmiast ją podtrzymał. A właściwie chwycił w ramiona. Minęła chyba cała wieczność, zanim wymamrotał coś niezrozumiale i wypuścił Annie z objąć.

- Eee... dzięki - mruknęła.
- Nic ci nie jest?
- Mnie? Och, skądże. - Zaśmiała się z przymusem.

Jasne, czuła się świetnie... tylko jej serce biło w szaleńczym tempie, a mięśnie całkiem odmawiały posłuszeństwa. Nie miała pojęcia, jak radzić sobie z takimi silnymi doznaniem.

Utwierdziła się w przekonaniu, że Max to ostatni mężczyzna, z którym mogłaby się związać. Nie potrzebowała gwałtownych, oszałamiających doznań, pragnęła jedynie

miłości, czułości i wierności, a nie dzikiej namiętności, która sprawia, że grunt usuwa się spod nóg.

Ostrożnie cofnęła się o krok. Woląca zachować bezpieczny dystans. Max był ekscytującym mężczyzną, lecz kiepskim materiałem na męża.

- Niezdara ze mnie.

- Nie, to ten chodnik. I te pantofle. Nie jesteś przyzwyczajona do chodzenia na wysokich obcasach, prawda?

- Nie mieszaj do tego moich obcasów - syknęła gniewnie i zaraz się zmytygowała. Rzeczywiście zawiniły sandałki na szpilkach, lecz nie była w ugodowym nastroju.

Max zrobił minę, z której nic nie dało się wyczytać.

- Annie, coś cię trapi?

- Nie - zełgała w żywe oczy. Nie mogła przecież powiedzieć, że on działa na nią podniecająco. Pewnie tarzałyby się ze śmiechu po takim wyznaniu.

Zresztą pociąg fizyczny to nie miłość, tylko skutek procesów biochemicznych wywołanych hormonami, i szybko mija. Natomiast miłość... ona trwa dużo dłużej.

Annie odwróciła się i ujrzała zacumowanego na przystani „Króla Deltę” - stary parowiec przebudowany na hotel. Zawsze marzyła o tym, że odbędzie podróż poślubną na pokładzie parostatku płynącego po Missisipi, toteż widok „Króla Deltę” powinien podzielać kojąco.

Ale tak się nie stało. Nadal była dziwnie rozstrojona bliskością Maxa, czuła się jak nastolatka na pierwszej randce. Żalotne, zważywszy jej wiek...

- Annie? - Max położył dłonie na jej ramionach, a ona poczuła dreszcz. - Czemu tak nagle zaniemówiłaś?

- Myślałam.

- O czym?

Westchnęła, gdy jego oddech musnął włosy na jej skroni. W cichości ducha musiała przyznać, że Max trochę ją przeraża. Burzył jej wewnętrzny spokój i czasem miał w oczach żar, którego nie rozumiała. Był człowiekiem lubiącym mocne doznania, żył szybko i intensywnie.

Natomiast jej życie zawsze płynęło spokojnie, równie leniwie, jak rzeka Sacramento. Było wypełnione drobnymi przyjemnościami, takimi jak głaskanie kota lub sus pod strumień wody z ogrodowego zraszacza.

- Annie? - powtórzył Max, lekko przyciągając ją do siebie.

Znów zadrżała i zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak zachować odpowiedni dystans. Światła parowca migotały kusząco w zapadającym mroku, co poddało jej pewną myśl.

- Spałeś kiedyś na „Królu Delt”? Podobno kapitańska kabina jest wspaniała.

- Nigdy nie byłem na pokładzie. Gdy mieszkałem w Bostonie, podczas wizyt w Kalifornii zatrzymywałem się u babci.

- Skoro nie mogę w ramach miodowego miesiąca udać się w rejs po Missisipi, to mam nadzieję, że przynajmniej spędzimy tydzień na „Królu Delt”. To wydaje się takie romantyczne...

Zgodnie z jej przewidywaniem, Max zeszytywniał. Pod pewnymi względami łatwo było go rozgryźć. Wszelkie wzmianki o ślubach i weselach zawsze wytrącały go z równowagi.

- Mówisz o podróży poślubnej?

- A dlaczegożby nie? - spytała lekkim tonem. - Chy-

ba znasz to określenie? Państwo młodzi jadą w nią na ogół zaraz po weselu.

- Wiem, co to jest podróż poślubna. Moi rodzice żyją od jednej do drugiej - burknął przez zaciśnięte zęby. - Robi się późno, odwiezę cię do domu.

Idąc z Maxem do samochodu, Annie ledwie powstrzymała się od uśmiechu. Jako kobieta chyba była dla Maxa za mało wyrafinowana, lecz jako długoletnia przyjaciółka niemal czytała w jego myślach.

W drodze powrotnej do Mitchellton cicho nucila, zastanawiając się nad kolejnym krokiem, jaki powinna uczynić na tej próbnej randce. Był nim pocałunek na dobranoc.

Na ganku wzięła głęboki oddech. Max wykonał taki ruch, jakby zamierzał odwrócić się i odejść, więc zebrała się na odwagę i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Max... co mi radzisz w sprawie pożegnalnych pocałunków?

- Słucham?

Zmarszczyła brwi. Dlaczego on ciągle zapomina, że ma ją nauczyć odpowiednio zachowywać się na randkach? Najwyraźniej nie uważał jej za kobietę, która może się podobać. Nabyta w ciągu minionego tygodnia pewność siebie osłabła, po czym Annie z lekka się wkurzyła. Max nie miał prawa uważać jej za wyprane z seksu stworzenie. Do licha, ona widziała w nim mężczyznę, chociaż nie najlepiej się z tym czuła.

- Pytam o pocałunek na dobranoc - wycodziła. - Na której randce wypada pozwolić się pocałować? Ludzie nadal uważają kobietę za „łatwą”, jeśli całuje się na pierwszej randce?

Max oparł się o słupek podtrzymujący dach ganku i jęknął w duchu. To wszystko było takie frustrujące, lecz musiał przyznać, że podziwia determinację Annie. Postanowiła odmienić swoje życie i zaczęła działać niezwykle energicznie. Nie miał serca jej powiedzieć, że czasy się zmieniły. Nikt już nikogo nie oceniał na podstawie jednego pocałunku. Nawet uprawianie seksu na pierwszej randce coraz rzadziej uważano za naganne.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - poradził. - Ten pocałunek już nie ma wielkiego znaczenia.

- Ale jak mam się zachować, gdy szeryf lub nauczyciel spróbuje mnie pocałować?

Max z trudem zachowywał spokój. W restauracji połowa facetów pożerała Annie wzrokiem, myśląc tylko o seksie, potem to gadanie o ślubie i miodowym miesiącu, a teraz jeszcze to. Nie znał ani szeryfa, ani nauczyciela, lecz wbrew wszelkiej logice już ich nienawdził.

- Bądź spontaniczna - odparł szorstko. - Przestań wszystko drobiazgowo analizować.

- Wiec najlepiej zrobić tak? - spytała ze swawolnym uśmiechem, następnie zarzuciła Maxowi ręce na szyję i szybko cmoknęła go w usta.

Był to najbardziej niewinny całus w życiu Maxa, lecz jakimś cudem niesamowicie go podniecił. Jeśli Annie zacznie szafować takimi buziakami, to wpadnie w niezłe tarapaty.

- Było jak trzeba, Max? - Annie odsunęła się od niego.

Wmawiając sobie w duchu, że to tylko lekcja, ujął w dłoń policzek Annie i delikatnie musnął kciukiem jej wargi.

- I jak, Max?
- Szs...

Wieczorne powietrze było chłodnej przesycone aromatem ogrodu i płynącej w pobliżu rzeki. Oraz zapachem Annie. Pachniała wiosennymi kwiatami, a także czymś tajemniczym, jakąś esencją kobiecości. Max nie mógł się nadziwić, że przez te wszystkie lata nie dostrzegął prawdziwej Annie.

Była kimś więcej niż tylko dziewczyną z sąsiedztwa. Kimś więcej niż tylko przyjaciółką o złotym sercu.

Miał przemożną ochotę pocałować Annie, tak naprawdę, nie na niby, i to niesamowicie go przeraziło. Pierwszy raz w życiu tak szaleńczo pragnął poznać smak ust jakiejś kobiety.

Później będziesz się martwić, Max, krzychały rozbudzone zmysły.

Właśnie, mógł to wszystko przeanalizować później, w zaciszu swojego mieszkania. A teraz pora nauczyć Annie, że powinna bardziej uważać i nie całować mężczyzn tak impulsywnie.

Spróbował skupić uwagę na czymś mniej ekscytującym, ujął więc dłonie Annie i pocałował ich wnętrza oraz musnął językiem ich wrażliwy środek. A ona leciutko zadrżała.

- Jakie ładne ręce - szepnął.
- Eee... tak, dosyć miękkie. Ale Buffy pewnie ma ładniejsze.
- Nie, wolę twoje, - Powiedział szczerą prawdę. Ręce Annie nie były wypiełgnowane jak dłonie panienek z wyższych sfer, lecz jemu wcale to nie przeszkadzało.

Wyczuł na palcach drobne odciski, zauważył też, że paznokcie są krótko obcięte, właśnie tak, jak u kogoś, kto ciężko pracuje. Mimo to były miłe w dotyku.

Teoretycznie chciał pomóc Annie złapać męża, lecz w głębi duszy wiedział, że zrobi to wbrew sobie.

Zepchnął tę myśl w głąb podświadomości i pocałował wewnętrzną stronę smukłego nadgarstka. Stwierdził, że Annie jest oszołomiona tą niewinną intymnością. Zaraz jednak się odprężyła i przestała wstrzymywać oddech.

- Właśnie tak, dziecinko - zamruczał uspokajająco. Znał z tysiąc uwodzicielskich odzywek, którymi mężczyźni łamią opór kobiety, lecz w tej chwili wszystkie jak na komendę wyleciały mu z głowy.

W ciemności łatwo było nie pamiętać, że Annie to ta dziewczyna, która widziała go urżniętego jak prosię po wypiciu nieszczęsnej cytrynówki, a także owa nastolatka, która oblała go wodą, gdy zjadł ciasto upieczone przez nią na konkurs.

Przestań tyle myśleć, podpowiadał instynkt.

Położył dłoń na biodrze Annie i przygarnął ją do siebie, aż poczuł na torsie wyraźny zarys jej piersi. Ten intymny kontakt skutecznie stłumił wszelkie wątpliwości natury moralnej.

- Chłodno dzisiaj...
- T...tak?
- Co? - Już zapomniał, że w ogóle się odezwał.
- Mówisz, że jest chłodno?
- Uhm.

Annie była dużo niższa, więc chwycił ją w talii i posa-

dził na szerokiej poręczy ganku. Dużo lepiej, stwierdził. Wręcz idealnie.

Cienki aksamit delikatnie zaszeleścił na jedwabnych pończochach, gdy Max podciągnął dół sukienki na tyle, aby odsłonić podwiązki. Koronkowe, bardzo niepraktyczne i nieziemsko seksowne.

Poczuł ogarniającą go falę żaru i z jękiem przyłgął wargami do ust Annie.

Ona zaś westchnęła z wrażenia i niebotycznie się zdumiała. Jak to możliwe, że coś sprawia tyle przyjemności i jednocześnie budzi obawy? Instynktownie odchyliła głowę do tyłu, umożliwiając Maxowi łatwiejszy dostęp do swoich ust.

W tej chwili nie mogła ani zebrać myśli, ani tym bardziej zastanawiać się, dlaczego Max ją całuje, skoro nigdy dotąd tego nie robił. Znadto była pochłonięta i wręcz zachwycona cudownymi doznaniem, których doświadczała pierwszy raz w życiu.

Zrób coś, przynaglił ją kobiecy instynkt.

Zarzuciła Maxowi rękę na szyję i wtuliła się w niego, co sprawiło jej taką przyjemność, że bezwiednie jęknęła.

Na ganku Grace nagle zapaliło się światło, co Annie ledwie zauważyła i całkiem zignorowała. Nie miała najmniejszej ochoty opuścić objęć Maxa ani przerwać pocałunku.

- Czy to ty, Max? - spytała Grace. - Usłyszałam samochód.

- Tak... jestem tutaj. - Głos Maxa zabrzmiał tak chrapliwie, że Annie z trudem go rozpoznała.

- Postanowiłeś zostać na noc?

W założeniu niewinne pytanie babci bardzo pobudziło wyobraźnię Maxa. W tej chwili chciał spać z Annie... Tego pragnęło jego ciało, lecz umysł ostrzegwał, że byłby to niewybaczalny błąd.

- Więc jak, zostajesz? - dopytywała się Grace.

Przez gęste, splecione gałązki pnącej róży, która skutecznie ich zasłaniała, Max zobaczył, że Grace wychodzi na ganek.

- Nie - zawołał. - Wracam do miasta. Właśnie żegnałem się z Annie. Do zobaczenia jutro.

- Przyjedziesz?

- Oczywiście. Na mszę i towarzyskie spotkanie przy lodach. Dobranoc.

- Dobranoc, mój drogi. - Grace weszła do domu.

Zamierzał powiedzieć Annie coś miłego, ale tylko delikatnie musnął ustami jej wargi, a ona cudownie je rozchyliła.

Nie ulegało wątpliwości, że brakuje jej doświadczenia w sprawach męsko-damskich, lecz z pewnością miała wrodzony talent do podniecania mężczyzny. Całowała tak słodko, że nawet dla Maxa było to prawdziwym objawieniem i niezwykłym doznaniem.

Nagle zauważył, że jego palce są dosłownie wplątane w aksamitne paseczki sukienki. Natychmiast przywołał się do porządku. Wiedział, że nie wolno mu przekroczyć pewnej granicy, jeśli chce jutro spojrzeć Annie w oczy. Przecież nie prosiła go o lekcję seksu, tylko o trochę porad na temat nowej garderoby oraz zachowania na randce.

- Annie? - spytał niepewnie.

- Tak, Max?

Niechętnie wypuścił ją z objęć,

- Chciałaś dowiedzieć się czegoś o całowaniu - wychrypiał. - Przyjmij do wiadomości, że wielu mężczyzn nie zostawiłoby cię teraz w spokoju. Nigdy za dużo ostrożności, Annie. Pamiętaj o tym, gdy umówisz się ze swoim szeryfem lub nauczycielem. Nie ufaj każdemu facetowi.

Annie zamruwała, oszołomiona tym ostrzeżeniem.

- Rozumiesz, Annie? To była tylko lekcja, lecz gdybyś trafiła na kogoś innego, mogłabyś gorzko tego pożałować.

Popatrzyła na Maxa zwięzionymi oczami. On naprawdę uważa, że tylko ją szkolił? Udzielał wskazówek?

Doskonale. Już ona da mu niezapomnianą nauzkę. Nawet kilka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Doprawdy, Max? - wycodziła, a jej głos ociekał sarkazmem. - Cóż za pouczająca lekcja. Właśnie takiej potrzebowałam.

- Uznałem, że powinnaś wiedzieć. - Spojrzał na nią z ukosa.

- Ja? - Zeskoczyła z poręczy i groźnie wycelowała w niego palec. - Raczysz zapominać, że sam zainicjowałeś ten pocałunek!

- Skądże! To ty mnie pocałowałaś!

- Leciutko i natychmiast się cofnęłam. Ale ty stwierdziłeś, że potrzebuję jakiejś głupiej lekcji na temat zachowania mężczyzn, których mogą ponieść emocje.

- Nie było w tym nic głupiego.

- Akurat. - Przygryzła wewnątrz policzka tak mocno, że poczuła smak krwi. W końcu dożyła chwili, w której całowała się z Maxem, po czym okazało się, że on tylko chciał ją w ten sposób ostrzec przed nachalnymi facetami. Do licha, takich porad wcale nie potrzebowała.

- Musiałem uświadomić ci pewne sprawy - z naciskiem oświadczył Max. - Jeśli zakładasz seksowna kciekę i niespodziewanie cmokasz faceta w usta, to czego się spodziewasz?

- Dżentelmena! - odparowała. - A moja sukienka jest

skromna. Nie ma dekoltu do pępka. Słowo daję, jak na człowieka z wielkiego miasta jesteś wyjątkowo pruderyjny i małostkowy!

- Ja? Bardzo śmieszne, zwłaszcza w ustach dziewczicy! To ją zabołało, choć jako zgodne z prawdą, nie powinno. Rzeczywiście była dziewczicą.

- Owszem, ale nie jestem pruderyjna! - Mimo najszerszych chęci nie zdołała ukryć, że uraziły ją słowa Maxa. Usłyszała, jak westchnął.

- Przepraszam, Annie. Wybacz mi, nie powinienem był tego mówić.

- Też tak uważam. - Nie zamierzała ochoczo mu wybaczyć, skoro najpierw tak ją podniecił, a chwilę później obraził. - Daleko mi do głupiej gęsi, za jaką mnie uważasz, choć nie mam doświadczenia...

- Wcale nie uważam cię za głupią gęś, tylko za... wcielenie niewinności. Nie wiesz, jacy bywają mężczyźni.

- Ale szybko się uczę - syknęła rozeźlona. Temu face-i towi, na którego teraz patrzyła, najchętniej złoiłaby skórę.

- No dobrze, przyznaję, zachowałem się niewłaściwie. Miała mu za złe nie to, że ją pocałował, lecz późniejszy wykład. Nie mogła jednak mu tego powiedzieć.

- Poza tym już ci mówiłam, że szeryf i nauczyciel nie są „moi”. Wciąż zapominasz, dlaczego potrzebuję lekcji, których tak nieudolnie mi udzielasz. Chcę się zakochać, a nie złapać jakiegoś biedaka, który nie zdąży mi uciec.

- Annie...

- I co, u licha, jest nie tak z moją sukienką? Nic ci się nie podoba.

- Sukienka jest w porządku.

- A mówiłeś, że jeśli w takiej kiecce niespodziewanie cmoknę faceta w usta, to...

- No cóż... - Max wyraźnie się zmieszał. - Po prostu... zaskoczyłaś mnie tym seksownym strojem.

- Dziwi cię fakt, że mam na grzbiecie coś ładnego, czy to, że w ogóle mogę wyglądać atrakcyjnie?

Dawno temu kolejny ojczym Maxa zabrał go zimą na ryby, w ramach zacieśniania rodzinnych więzi z pasierbem. Max uważał, że to bez sensu, bo kolejni ojczymowie pojawiali się i szybko znikali, lecz wciąż doskonale pamiętał tamto doświadczenie. Szedł po zamrożonej powierzchni jeziora, słyszał skrzypienie lodu pod stopami i zdawał sobie sprawę z tego, że z każdym krokiem jest bliżej lodowatej wody, która może go pochłonać. Właśnie tak czuł się w tej chwili.

- Zawsze ubierałaś się całkiem inaczej - wybąkał. - Aż tu nagle... wkładasz na siebie... coś takiego. - W przesączającym się przez pnące róże świetle księżyca nie widział dobrze miny Annie, lecz wyczuł, że zeszywniała. Widocznie znów palnął gafę. Ale jaką?

Niech to diabli. Nigdy nie był dobry w te klocki. Nie miał zielonego pojęcia, co powiedzieć Annie. Już nie czuł się przy niej swobodnie, a w takich przypadkach zawsze definitywnie rozstawał się z kobietą.

Ale nie chciał rozstać się z Annie. Ani teraz, ani nigdy. Chyba mogli znów być przyjaciółmi, tak samo jak przedtem, zanim ona postanowiła znaleźć sobie męża i urodzić dziecko.

- Wyglądasz pięknie w tej sukience - oświadczył ugodowym tonem. - Całkiem zmieniłaś styl i dlatego się zdu-

miałem. Przepraszam, nie chciałem cię obrazić czy onieśmielić. Wiesz, wszyscy popełniamy głupstwa.

- Aha. - Tym razem w głosie Annie nie było gniewu.
- Chyba zachowuję się jak nadopiekuńczy starszy brat. Ty kłamczuchu, skarcił się w myśli. Jego uczucia nie miały absolutnie nic wspólnego z braterskimi. Przez jedną krótką chwilę zachowywał się jak namiętny kochanek i nadal był oszołomiony tym, że omal nie stracił panowania nad sobą. Annie z pewnością wspaniale nadawałaby się na kochankę, lecz pragnęła małżeństwa. Nie mógłby wziąć jej do łóżka, nie włożywszy wcześniej na jej palec ślubnej obrączki. Cóż, chyba właśnie dlatego zawsze widział w Annie tylko dobrą przyjaciółkę.

Teraz wciąż milczała, chociaż trudno było stwierdzić, w jakim jest nastroju.

- Wybacz, Max - powiedziała w końcu tak chłodno, że się wzdrygnął. - Sądziłam, że to całowanie jest elementem lekcji. A ponieważ chyba szło mi nie najgorzej, więc z przykrością usłyszałam, że chodziło ci o coś innego. Przepraszam za mój nieuzasadniony wybuch.

- Och, nie ma o czym mówić... - Znów odniósł wrażenie, że zaraz wpadnie w lodowatą otchłań. Nie podobało mu się, że zapomniał się przy Annie, ale gorsza była świadomość, że ona uznała ten pocałunek tylko za ćwiczenie. Przecież pierwszy pocałunek powinien być dla kobiety cudownym, niezapomnianym przeżyciem. A on wszystko zepsuł.

Poczuł w skroniach bolesne pulsowanie i sięgnął do kieszeni po kluczyki.

- Robi się późno. Lepiej pojedę do domu.

- Do północy daleko. Myślałam, że miastowi ludzie uwielbiają nocne życie,
- Sacramento nie przypomina innych dużych miast. Pamiętasz, co się o nim mówi? Że to największa mała miejscina na świecie.

Stolica stanu Kalifornia rzeczywiście cieszyła się taką opinią. Była dużą metropolią, ale pod wieloma względami przypominała prowincjonalną miejscowość.

- Osobiście wolę Mitchellton - suchym tonem stwierdziła Annie.

Najwyraźniej zamierzała pokazać, że ma swoje zdanie i go nie zmieni. Max zgrzytnął zębami. Annie ostatnio przeszła zadziwiającą metamorfozę. Zmieniła się nie tylko zewnętrznie, lecz także jej charakter wzbogacił się o nowe cechy.

Zupełnie, jakby stała się... Max przez chwilę szukał w myśli odpowiedniego słowa. „Szczera” było jedynym, które przyszło mu do głowy. Owszem, Annie nigdy nie kłamała, ale poniekąd skrywała część swojej osobowości i właśnie teraz ją ujawniła. Okazało się, że umie wygarnąć komuś prawdę prosto w oczy i nie obawia się konfrontacji.

- No, to do jutra. Zawiozę ciebie i babcię do kościoła.
- Masz szybko zbiegł po schodkach ganku. - Dobranoc.
- Dobranoc, Max.

W połowie drogi do Sacramento przypomniał sobie, że nie sprawdził zamków ani okien w domu Annie, chociaż miał taki zamiar. Do licha, nawet nie poczekał, aż ona wejdzie do środka i porządnie zamknie za sobą drzwi. Zaklął pod nosem i zawrócił do Mitchellton.

Zaparkował przed domem i pognął do drzwi. Już miał

zapukać, gdy nagle usłyszał cichy śmiech dobiegający z ogrodu.

Annie.

Tylko ona śmiała się tak szczerze, że człowiekowi od razu robiło się ciepło na sercu. Max cicho obszedł ganek i przystanął, ukryty w mroku, wpatrzony w Annie bawiącą się zraszaczem.

Już zdjęła aksamitną sukienkę i teraz miała na sobie białą nocną koszulę. W srebrzystym blasku księżycy wyglądała jak wodna nimfa, jak księżniczka ze świata baśni.

Coś otarło się o nogę Maxa. Spojrzał w dół i zobaczył królika Annie, żującego jego sznurowadło. Max zdjął krawat, usiadł na wygodnym, drewnianym fotelu i wziął zwierzaka na kolana.

- Przestań się wiercić - szepnął Max, aby nie spłoszyć Annie, która z wdziękiem wykonywała swój taniec pośród szemrzących strumyków wody.

Max widział ją podczas takich zabaw setki razy, gdy byli dziećmi. Lecz obecnie dorosła Annie z uniesionymi nad głową rękami kołysała się zmysłowo, płasząc w rytm muzyki, którą słyszała tylko ona. Zataczający kręgi delikatny strumień rozpylonej wody już zdążył całkiem zmoczyć baltystową koszulę, która przyłgnęła do ciała, ujawniając wszystkie wypukłości kobiecego ciała. Max przez długą chwilę patrzył na nie z zapartym tchem.

- Co ja wyprawiam? - szepnął bezgłośnie i zamknął oczy, lecz nadal miał pod powiekami widok tańczącej Annie. Czuł się jak klasyczny podglądacz i chyba sam powinien wziąć otrzeźwiający, zimny prysznic. Gdyby

jednak przyłączył się do niej lub jedynie zdradził swoją obecność, to licho wie, co mogłoby się stać.

Klnąc w duchu, wstał z fotela, posadził na nim królika i po cichutku wślizgnął się do domu. Pośpiesznie obszedł pomieszczenia, sprawdzając, czy wszystko w porządku, i wyszedł frontowymi drzwiami.

Przez kilka minut siedział w samochodzie, zaciskając palce na kierownicy i walcząc z przemożnym pożądaniem. Dawno temu postanowił, że nigdy nie pozwoli swoim zmysłom decydować za niego. Akceptował namiętność, ale nie mógł pozwolić, aby nim władała; koszty czegoś takiego byłyby zbyt wysokie. Lecz tym razem ledwie panował nad własnym ciałem, które domagało się seksualnego spełnienia.

Z powodu Annie.

Dlaczego ją objął i pocałował? Popęłnił wielki błąd.

- Weź się w garść, chłopie - burknął do siebie, ruszając w drogę. - Jeśli nie będziesz ostrożny, zrujnujesz tę przyjaźń.

Liczne związki rodziców nauczyły go przynajmniej jednego - tego, że cudowne romanse nie trwają wiecznie. Wolał do końca życia mieć w Annie przyjaciółkę, niż ją utracić, zostając jej kochankiem.

Annie obudził jakiś szelest. Otworzyła oczy i na drugiej poduszce ujrzała swojego brązowego królika.

- O, rany, Barnard - jęknęła zaspana. - Ale mnie przestraszyłeś.

Barnard poruszył aksamitnym nosem i nic nie odpowiedział.

Jak zwykle.

- Cóż z tego, że jesteś oswojony - dodała wyniośle.
- Bez obrazy, ale bardziej przydałby mi się tutaj jakiś mężczyzna.

Barnard chyba się nie obraził. Może dlatego, że sam wołałby teraz pewnie pogawędzić z ładną panią królikową.

- Niezła z nas para - mruknęła Annie, głaszcząc miękkie futerko ulubieńca. - Też jesteś samotny, prawda? Trochę zagubiony i spragniony uczuć?

Po raz pierwszy nazwała po imieniu to, co jej doskwierało, ilekroć budziła się sama. Nie, nie chodziło o seks. Najbardziej pragnęła po prostu tej cudownej świadomości, że ma kogoś bliskiego.

Kogoś takiego jak Max.

Annie ze smutnym uśmiechem wtuliła się w kołdrę i zamknęła oczy. Od wczorajszego wieczoru rozumiała Maxa jeszcze mniej niż dotychczas. Pocałował ją tak namiętnie, po czym nagle ochłódł, jakby ta pieszczota nic dla niego nie znaczyła. Raptownie się wycofał i zaczął się wymądrzać, że nigdy za dużo ostrożności, bo można trafić na niewłaściwego mężczyznę.

- Święta racja - mruknęła ponuro.

Max to nieodpowiedni facet. Cóż z tego, że był atrakcyjny, skoro budził tyle sprzecznych uczuć. A sprawę przesądzał fakt, że Max nigdy nie chciał mieszkać w Mitchellton.

- Ja stąd nie wyjadę. - Annie popatrzyła na królika.
- Zresztą i tak nie zależy mi na Maksie. To porządny chłopak, lecz nie w moim guście - dodała, głęboko pragnąc uwierzyć w to stwierdzenie.

Za nic w świecie nie mogła zadurzyć się właśnie w Maksie. Tacy, jak on, nie zakochują się w dziewczynach z prowincji, które znają się na uprawie warzyw, ale nie mają pojęcia o modnych ciuchach. Poza tym Max w ogóle nie zamierzał się zakochać, więc nie było sensu karmić się mrzonkami.

Westchnęła, gdy Barnard pokicał na brzeg łóżka i zeskoczył na podłogę. Ten pieszczołek kompletnie nie nadał się do konwersacji.

Na podjazd Grace wjechał samochód, którego silnik brzmiał znajomo. Annie zerknęła na budzik.

- Dziesiąta?! - zapiszczała zdumiona. Nigdy nie spała tak długo. Tej nocy co prawda, nie mogąc zasnąć, prze wracała się z boku na bok, ale żeby wylegiwać się prawie do południa?

Wyskoczyła z pościeli i pomknęła do łazienki. Powinna zrobić się na bóstwo, ponieważ dzisiaj mogła spotkać szeryfa i nauczyciela.

- Lepiej się postaraj - mruknęła do swojego odbicia w lustrze. - Przecież chcesz wyjść za mąż, prawda?

Jasne, że tak.

Na szczęście wzięła długi prysznic i umyła włosy, zanim wieczorem włączyła ogrodowe zraszacze. Nie musiała więc długo się szykować. Ale zmartwiała na widok swojej wilgotnej koszuli... i krawata.

Barnard przywłókł go wczoraj do kuchni i zdążył wygryźć w nim dziurę, zanim Annie mu go zabrała.

Teraz znów wzięła go do ręki i w zamyśleniu przesunęła między palcami wąski pasek jedwabiu. Była pewna, że Max miał ten krawat na sobie, odjeżdżając do Sacramento.

Widocznie Max wrócił.

I na pewno zobaczył, jak tańczyła wokół zraszacza. Zarumieniła się na myśl o tym, co musiał ujrzeć, gdy była już całkiem mokra, obklejona cieniutką koszulą.

Czyżby dlatego się nie odezwał? Uciekł bez jednego słowa?

Hmm.

Uśmiechnęła się, choć nie miała pojęcia, z czego się cieszy. Przecież już zdecydowała, że Max to ostatni mężczyzna, którym należy się interesować, prawda? Nie ma więc najmniejszego sensu przejmować się tym, że widział ją prawie na golasa.

Tyle tylko, że na myśl o Maksie Hunterze zapominała o zdrowym rozsądku.

Pół godziny później wzięła głęboki oddech i przyjrzała się swojemu odbiciu. Nie najgorzej, stwierdziła. Wyglądała prawie tak samo atrakcyjnie jak w kreacji z szafirowego aksamitu. Zrobiła piruet, zachwycona delikatnym szelestem tkaniny falującej wokół nóg. Ta sukienka może była odrobinę za strojna na zwyczajną mszę, ale na wojnie i w miłości wszystkie chwytły są dozwolone.

Po sekundzie wahania zapięła jeszcze jeden perłowy guziczek - ten, o który tak wyklócał się Max. Oczywiście nie miał racji, lecz dzisiaj była skłonna do kompromisu, skoro szli razem do kościoła.

Dyskretnie wyjrzała przez okno w sypialni i na podwórzu za domem Grace ujrzała Maxa. Właśnie pocierał dłonią policzek i był ponury jak gradowa chmura.

Nie szkodzi.

Niech sobie stroi fochy, jeśli taka jego wola. Już nie musi odgrywać czarusa. Wczoraj przeciwicyli próbną randkę, więc pora wziąć sprawy w swoje ręce. Przecież obiecała Maxowi, że później sama da sobie radę i zamierzała dotrzymać słowa.

Chwyciła torebkę i szybko zbiegła na dół nie dlatego, że zapomniała o radzie Maxa, aby czekać na swego partnera w domu. Zrobiła to celowo. Najlepszym sposobem umożliwiającym zachowanie przyjaźni Maxa był powrót do dotychczasowych stosunków. Jak najszybciej.

- Cześć, Max! - zawołała pogodnym tonem, wychodząc na zewnątrz. - Dobrze spałeś? - palnęła bez zastanowienia i natychmiast tego pożałowała.

Psiakość, chyba nie powinna była wspominać o spaniu, chociaż zadawała Maxowi to niewinne pytanie setki razy. Ale wciąż nie wiedziała, jak zachowywać się w towarzystwie mężczyzny, z którym tak namiętnie się wczoraj całowała. Jak mogła się odprężyć i udawać, że wszystko jest tak samo jak dawniej?

- Dobrze - mruknął Max.

- Och... to świetnie.

Wepchnął ręce do kieszeni, usiłując nie gapić się na Annie. Miała na sobie sukienkę, którą skrytykował. Włożyła ją zapewne dlatego, aby dać do zrozumienia, że jeszcze nie przebaczyła mu wczorajszego zachowania. Cóż, właściwie nie mógł jej za to winić.

- Annie, chciałem... - Słowa uwięzły mu w gardle.

- Tak?

- Myślałem o tym, co niedawno mi uświadomiłaś... że nie lubię kobiet, które się ze mną spierają.

- To prawda.
- Właśnie dlatego nigdy się ze mną nie kłócisz?
- Ostatnio często mamy inne zdanie - odparła, wzruszając ramionami.
- Ostatnio tak - przyznał. Zależało mu na Annie, należało zatem wyjaśnić wszelkie nieporozumienia.
- A o cóż mielibyśmy się przedtem kłócić? Nigdy nie poruszaliśmy ważnych tematów.

- Jak to nie? Przecież jesteśmy przyjaciółmi.
- Och, gawędziliśmy o polityce, sporcie i architekturze. Czasem o moich planach zagospodarowania ogrodu, trochę o Grace... ale na ogół były to takie gadki-szmatki.

Max nagle pojął, co chciała przez to wyrazić. W przeszłości kobiety wielokrotnie zarzucały mu, że nie stać go na prawdziwą intymność, ale dopiero teraz zaczął się tym przejmować.

- Boże - jęknął. - Oczywiście masz rację. Nigdy nawet nie rozmawialiśmy o twoim tacie... o tym, co przeżywałaś, gdy zachorował.

Nawet teraz, po latach, nadal nie potrafił wykrztusić tego, co powinien był powiedzieć, gdy Annie była młodziutką, pogrążoną w żałobie dziewczyną. Gdy samotnie zmagala się ze swoim cierpieniem.

- W porządku, Max. - Spojrzała na niego ze zrozumieniem. - Nie mam ci tego za złe.

- Przepraszam, że nie wspierałem cię w najtrudniejszych chwilach. Postaram się poprawić.

Jeszcze nie przebrzmiało echo jego słów, a już wiedział, że trudno będzie wywiązać się z tej obietnicy. Jeśli Annie kogoś poślubi, to jej mąż może nie zgodzić się na

kontynuowanie przyjaźni z innym mężczyzną. I co wtedy? Max ciężko westchnął. Wziąwszy pod uwagę fakt, jak wspaniale rozkwitła, jakiś facet już wkrótce szaleńczo się w niej zakocha. Mężczyźni z Mitchellton przecież mieli oczy i umieli szybko się zakręcić koło atrakcyjnej kobiety. Nowy szeryf i nauczyciel na pewno nie są pod tym względem wyjątkami.

- Strasznie mi przykro - wymamrotał. Chciał ją przeprosić za te niezliczone chwile, kiedy wydawało mu się, że postępuje jak przyjaciel, lecz tak naprawdę zachowywał się jak egoista.

- Przecież zawsze mogłam na ciebie liczyć, Max - powiedziała miękko. - Pracowałeś w sklepie, gdy tata zachorował, kosiłeś trawę w naszym ogródku, rozśmieszałeś mnie. Pomagałeś mi na swój sposób.

Zabrzmiało to wielkodusznie, lecz Max wiedział, że nie zrobił wystarczająco dużo. Annie była jego najlepszą przyjaciółką; powinna mieć w nim powiernika, kogoś, kto zawsze jej wysłucha. Dopiero niedawno zrozumiał, jak bardzo Annie wszystko przeżywa. Taka kobieta chyba szczególnie potrzebuje w swoim życiu bliskiego, kochającego człowieka.

- Ale wciąż nie idzie mi to najlepiej - przyznał ze skruchą.

- Nie przejmuj się tak, Max.

Poklepała go po ręce i uśmiechnęła się słodko, a jemu zaparło dech. Dzisiaj Annie miała włosy zebrane w luźny kok na czubku głowy, a sukienka była kwintesencją kobiecości. Oczywiście zawsze uważał, że Annie jest ładna, nie musiała się tak stroić, aby dostrzegł jej urodę.

- Jesteście gotowi? - spytała Grace, wychodząc z domu. - Ojej - westchnęła z wrażenia na widok Annie. - Ślicznie wyglądasz, moje dziecko. W mgnieniu oka owiesz sobie Parkera i Josha wokół palca. Szykuje się interesująca niedziela.

- Kim są Parker i Josh? - spytał Max.

- Sądzisz, Grace, że mnie zauważą? - Annie zignorowała jego pytanie.

- Zawsze mówię to, co myślę. Wspomnisz moje słowa: wydasz się za mąż jeszcze przed zimą.

- Kim są Parker i Josh? - głośno powtórzył Max.

- Parker McConnell to nowy nauczyciel wychowania fizycznego w średniej szkole - wyjaśniła babcia. - A Josh Kendrick niedawno został naszym szeryfem. Żaden z nich nie jest zaręczony ani nie ma dziewczyny.

- Skąd wiesz?

- Spytałam ich, oczywiście. - Grace pokręciła głową i uśmiechnęła się z politowaniem, jakby jej wnuk był niedorozwinięty umysłowo, a Max gniewnie prychnął.

- Więc obaj pewnie podejrzewają, że ktoś będzie ich swatał.

- Taki już los przystojnych mężczyzn - pogodnie stwierdziła Grace. - Ale ci dwaj to porządne chłopaki, więc jeden z nich doskonale nada się na męża Annie. Czy zaniósłś do kościoła swój tort? Może jestem staroświecka, lecz uważam, że najszybciej trafią się do serca mężczyzny przez jego żołądek.

- Wczoraj po południu włożyłam ciasto do kościelnej lodówki.

- Doskonale, moja droga.

Max odchrząknął znacząco.

- Chodźmy już. Chyba nie chcecie się spóźnić na mszę? - spytał. - Ani na spotkanie z Joshem i Parkerem - szepnął Annie do ucha.

Annie splótła palce, bezskutecznie usiłując uważnie słuchać kazania, zamiast myśleć o swoich problemach. Siedziała między Grace a Maxem, a po przeciwnej stronie nawy miała za sąsiadów szeryfa i nauczyciela.

Obaj niewątpliwie ją zauważyli i przed rozpoczęciem nabożeństwa kilkakrotnie podeszli bliżej, lecz Max za każdym razem robił groźną minę. Postronnemu obserwatorowi mógł wydać się piekielnie zazdrosny, lecz Annie wiedziała, że nie o to chodzi. Max tylko jak zwykle był ponury i ze wszystkiego niezadowolony.

Ale obaj mężczyźni starali się napotkać jej spojrzenie, posyłali uśmiechy... ciepłe i sympatyczne. Była absolutnie pewna, że zaproszą ją na randkę, o ile Max wreszcie się odczepi.

Po mszy, gdy Grace odeszła, aby pogawędzić ze znajomymi, Annie pochyliła się i syknęła:

- Spadaj, Max. Teraz już sama dam sobie radę.
- Obiecałem ci pomóc.
- Twoja obecność tylko mi przeszkadza.
- Bzdura. Niech chłopcy myślą, że mają konkurencję.

Zaufaj mi, Annie. Znam się na rzeczy.

Z jej gardła wydobył się dźwięk przypominający warczenie. Z radością trzepnęłaby Maxa w ucho, ale w kościele nie wypadało tak się zachowywać.

- Max, chyba nie wiesz, o czym mówisz.
- Uch, ale mnie ranisz. Przecież jestem mężczyzną, prawda?
- Hmm... tak.
- I potrzebowałaś moich rad.
- Cóż, nie przeczę. - Rzeczywiście prosiła go o nie, choć później miała wiele powodów, aby tego żałować.
- Więc uwierz mi na słowo. - Max z ostentacyjnym spokojem poklepał ją po ręce. - Mężczyźni zawsze się go-rączkują na widok rywala.

Zdaniem Annie było to idiotyczne. Nie była też pewna, czy Max trafnie ocenia sytuację. Może faceci z miasta rozumują i zachowują się inaczej niż ci z małych miejscowości? Nie zdążyła tego przemyśleć, ponieważ szeryf zmierzzył Maxa wrogim spojrzeniem, zerknął na nią i zdecydowanie ruszył w ich stronę.

- Witam, jestem Josh Kendrick - oznajmił, podając Annie rękę.
- Annie James - przedstawiła się z uśmiechem. Nie poczuła żadnego iskrzenia, gdy szeryf uściskał jej dłoń, ale dotknięcie było przyjemne. - A to Max Hunter, wnuk mojej sąsiadki - powiedziała lekki tonem. - Max i ja znamy się od dzieciństwa.

Obaj mężczyźni przywitali się i nie skoczyli sobie do gardeł, więc Annie troszkę się odprężyła.

- Słyszałam, że uratował pan psa tonącego w rzece. Zaimponował pan nam wszystkim. Mało kto ryzykowałby życiem dla zwierzaka.
- To nie był aż taki wielki wyczyn, panno James. Poza tym uwielbiam zwierzęta.

- Wspaniale - zahuczał Max. - Annie też za nimi przepada. Powinien pan zobaczyć jej królika i kota. Co za okazy!

Drgnął, gdy Annie dała mu kuksańca pod żebro. No dobrze, nie bawił się w subtelności, ale już ledwie nad sobą panował. Ten Kendrick sprawiał jak najlepsze wrażenie i bez wątpienia interesował się Annie.

Rzeczywiście mogła wyjść za mąż jeszcze przed zimą. Na tę myśl Maxowi zrobiło się słabo.

- Zje pan lody, szeryfie? - spytała jedna z pań podających desery. Była mocno po sześćdziesiątce, lecz wdzięczyła się do Josha Kendricka jak szesnastolatka.

- Nie, dzięki. Za to z przyjemnością skosztuję czekoladowego ciasta wypieku panny James. Podobno cieszy się legendarną sławą.

- I owszem - przyznała starsza pani. - Nasza Annie wspaniale gotuje.

- Jestem za młoda na legendę - zaprotestowała Annie.

- Z całą pewnością - ochoczo zgodził się szeryf. Zjadł kęs ciasta i cichym pomrukiem wyraził aprobatę. - Ale ten tort zasługuje na najwyższe pochwały. Jest przepyszny.

- Dziękuję.

- Ja też spróbuję - oznajmił Parker McConnell. - O ile szeryf jeszcze wszystkiego nie zjadł.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się miło, lecz Max zauważył, że taksują się nawzajem spojrzeniami, oceniając walory rywała. Na niego też tak patrzyli, zanim nie usłyszeli, że jest tylko przyjacielem. A potem najwyraźniej uznali, że ktoś taki im nie zagraża, i to naprawdę go wkurzyło.

Przecież był mężczyzną, więc powinni się martwić. Przecież znał Annie nieporównywalnie dłużej, dzięki czemu miał nad nimi przewagę.

- Wystarczy dla wszystkich. - Annie podała talerzyk Parkerowi.

- Dziękuję, panno James.

- Proszę mówić mi Annie.

- Ja też mogę? - spytał szeryf.

- Oczywiście. - Annie była z siebie nadzwyczaj zadowolona, ponieważ zarówno Parker, jak i Josh otwarcie ją adorowali.

- Annie to najlepsza kucharka w całym stanie - oświadczył Max.

A ona zeszywniała. Za każdym razem, gdy zaczynała się odprężyć, Max jakimś stwierdzeniem burzył jej spokój.

- Max, może pójdziesz posiedzieć z babcią? - zasugerowała słodko.

- Nie... już raz mnie przegoniła, gdy pozwoliłem ci się splawić. Zawzięcie plotkuje ze swoimi kumoszkami.

- Więc idź nałóż sobie trochę lodów.

- Już zjadłem dwie porcje.

Rozciągnęła usta w uśmiechu, w głębi duszy żalując, że poprosiła Maxa o pomoc. Był to błąd, choć nie umiała powiedzieć, dlaczego. Max zawsze dziwnie na nią działał i budził niepokojące uczucia, lecz starała się to bagatelizować. Teraz jednak zachowywał się jak zazdrośnik i bezustannie deptał jej po piętach, toteż wbrew własnej woli znów zaczęła dostrzegać w nim atrakcyjnego mężczyznę.

Niby jak miała się zakochać w nauczycielu lub szeryfie, skoro Max wciąż jej towarzyszył?

- Hej, trenerze - zawołali dwaj chłopcy. - Obiecał pan, że po południu trochę poćwiczymy. To jak będzie?

- Eee... zaraz idę - odskrzyknął Parker. - Cieszę się, że cię poznałem, Annie. Do zobaczenia.

Szeryf wyraźnie się ucieszył, że zostaje sam na placu boju, lecz radość trwała krótko. Odebrał telefon, przez chwilę słuchał, po czym z żalem popatrzył na Annie.

- Podobno nad rzeką wybuchła bójka. Muszę tam niestety jechać.

- Rany, to fatalnie - stwierdził Max z fałszywym współczuciem w głosie i z miną rasowego obłudnika. - Mijmy nadzieję, że chodzi o głupstwo.

- Pewnie tak. - Josh posłał mu mordercze spojrzenie, jakby znów ujrzał w Maksie konkurenta. - Annie, mógłbym do ciebie zadzwonić? W tym tygodniu?

- Tak... oczywiście.

- Dzięki. To na razie.

Gdy tylko szeryf znalazł się poza zasięgiem słuchu, Annie zawlokła Maxa w kąt sali.

- Co ty wyprawiasz, Max? - syknęła, piorunując go wzrokiem.

- Pomagam.

- Następnym razem rób to z odległości dziesięciu metrów! Co oni sobie pomyślą?

- Pomyślą, że jesteś śliczną dziewczyną, z którą chętnie poszliby na randkę - odparł urażonym tonem. Ale był zły na siebie, nie na Annie.

Naprawdę zamierzał ją wspierać jak dobry przyjaciel, aby zrealizowała swoje małżeńskie plany, lecz nie potrafił trzymać się z daleka. Wystarczyło, że ci dwaj faceci za-

częli się do niej zalecać, a w nim już wszystko się gotowało.

Miał więc poważny problem, ponieważ było jasne, że Josh Kendrick i Parker McConnell nie rozpląną się we mgle. Na pewno będą wydzwaniać do Annie i umawiać się z nią, a on nie mógł temu zapobiec.

RRS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Naprawdę sądzisz, że zechcą się ze mną umówić? - spytała Annie.

- Oczywiście.

-Dzięki. W takich sprawach trudno o całkowitą pewność. A ja...

- Jesteś piękną kobietą, więc skąd te wątpliwości?

- No wiesz... - Wzruszyła ramionami i odgarnęła ze skroni kosmyk włosów. - Niby zdaję sobie sprawę z tego, że w nowych strojach wyglądam nieźle, ale...

- Te ciuszki wcale cię nie zmieniły, Annie. To tylko ładna oprawa, nic więcej, ty zawsze byłaś śliczna. Po prostu wyszłaś z ukrycia.

- Jakże chętnie uwierzyłaby, że tak jest w istocie.

Co prawda chyba powinna czuć się urażona tym, że Josh i Parker zauważyli ją dopiero wtedy, gdy zadbała o swój wygląd, ale... mogła im to darować.

- Masz rację. Dzisiaj wszystko poszło jak po maśle. Josh spytał, czy może zadzwonić.

- Uhm. - Max patrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Zaprosiłam Grace na lunch. Zjesz z nami?

- Tak - mruknął.

- Świetnie.

Przyłączyła się do grupy sprzątających kobiet, ale prawie nie słuchała, o czym gawędzą. Wciąż brzmiała jej w uszach samokrytyka Maxa, gdy mówił o śmierci jej ojca.

W przeszłości nigdy nie oczekiwała, że Max będzie ją wspierał, gdy miała problemy. Czyżby popełniła błąd? Może należało więcej o nich mówić, gdy przebywali razem? Oczekiwać więcej zrozumienia i współczucia od dobrego przyjaciela? Ale ona zawsze szanowała wyznaczone przez niego granice.

- Sporo dzisiaj namieszałaś, Annie - ze śmiechem stwierdziła Eva Sanderson. - Ci dwaj panowie nie opuszczą teraz żadnej mszy.

- Dwaj? Chyba trzech - poprawiła Raehael Adams, żona pastora. - Max Hunter był taki zazdrosny, że omal nie sprowokował bójki.

Kobiety zachichotały, a Annie uprzejmie się uśmiechnęła, choć to wszystko wcale nie było zabawne. Max zazdrosny? Też coś. Najwyżej takiego udawał, żeby pomóc jej zwrócić uwagę Josha i Parkera. Widocznie ma aktorskie zdolności.

- Wypiorę te ścierki.

- Dzisiaj moja kolej - zaprotestowała Raehael.

- Nie szkodzi. I tak muszę później zrobić pranie. - Annie pośpiesznie umknęła z sali.

Powinna była przewidzieć, że wszyscy będą na jej temat plotkować. Ostatnia taka atrakcja zdarzyła się dwa lata temu, gdy sześćdziesięciodwuletni stary kawaler Morris Jeppers ruszył w zaloty do wdowy Jane Hastings, dzięki czemu błyskawicznie dorobił się sześciorga pasierbów i czternaściorga przybranych wnuków. Annie miała na-

dzieje, że już wkrótce sama stanie się bohaterką równie romantycznej opowieści ze szczęśliwym zakończeniem.

Na zewnątrz od razu natknęła się na Maxa, który wziął od niej wszystkie pakunki.

- Gotowa? - spytał. - Babcia już czeka na czas w samochodzie.

- Więc jedźmy.

Max lekko objął ją w talii, a Annie wyczuła, że oboje są w centrum uwagi, i bardzo się starała nie zarumienić. To wszystko jest idiotyczne, stwierdziła w duchu. Dopóki nie zaczęła nosić tych seksownych ciuszków, nikt się nią nie interesował. Natomiast teraz obserwowano każdy jej ruch, gdy przebywała w pobliżu niezamężnego mężczyzny. A przecież Max wychował się w Mitchellton; nie było żadną tajemnicą, co sądzi o instytucji małżeństwa.

- Możesz trochę poczekać z tym lunchem? - spytał, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z wielu par wpatrzonych w niego oczu.

- Jasne, a bo co?

- Muszę skoczyć do Sacramento po różne żelastwa.

- Żelastwa? - Annie niezmiernie się zdziwiła.

- Założę w twoim domu nowe zamki. Coś lepszego niż te antyki, które można otworzyć szpilką do włosów.

- Wcale nie są takie stare! - zaprotestowała oburzona.

- I nie chcę, żebyś cokolwiek robił. Sama się tym zajmę.

- To wiekowe rupiecie. - Max otworzył jej drzwiczki.

- A dzisiaj i tak nie znajdziesz ślusarza, więc osobiście je wymienię. Nie pozwolę, żebyś spędziła jeszcze jedną noc w domu, który stoi otworem.

- To nie twoja sprawa!

- Tej walki chyba nie wygrasz, moja droga. - Grace uśmiechnęła się do niej ciepło. - Max dorównuje ci uporem.

- Niech się szarogęsi u siebie.

- Też mu to powiedziałam, ale on ma wybiórczy słuch. Uznał, że wie lepiej, co dla ciebie dobre, i zatkał uszy.

Max chrząknął, lecz się nie odezwał, czym pośrednio przyznał babci rację.

Annie poprawiła się na siedzeniu auta, a dół sukienki odsłonił smukłe udo. Max pośpiesznie odwrócił wzrok i wlepił go w szybę. Niech Annie mówi sobie, co chce, ale ta kiecka była zbyt śmiała jak na Mitchellton. Na pewno... albo on jednak jest pruderyjny.

-Trudno z tobą wytrzymać, Max - stwierdziła Annie, zapinając pasy. - Nie potrzebuję twojej opieki.

- A powiedziałem, że się tobą opiekuję?

- Nie wymądrzaj się. - Pomachała grupie znajomych, którzy nadal gawędzili na parkingu. - Wszyscy przeżyli szok, widząc cię w kościele drugi raz z rzędu.

- Jakoś to przeżyją. - Max także odpowiedział gestem na pozdrowienia. Znał tych ludzi i pamiętał ich z dzieciństwa, choć od tego czasu znacznie się postarzelili.

- Na pewno, skoro przetrwali okres, gdy byłeś nastolatkiem. - Annie prychnęła kpiąco.

Zerknął we wsteczne lusterko i stwierdził, że Grace uśmiecha się od ucha do ucha.

- Masz ochotę coś dodać, babciu? Na pewno znasz z tysiąc historyjek o moich młodzieńczych wyskokach. Może Annie jeszcze nie słyszała kilku z nich.

- Akurat nic nie przychodzi mi do głowy. Ale fakt, że się kłóćcie, jest kształcący. Nigdy dotąd tego nie robiliście.

- Wcale się nie kłócimy.
- Oczywiście, mój drogi.

Annie wcisnęła się głębiej w fotel i skrzyżowała ramiona na brzuchu, starannie unikając spojrzenia Maxa. Wiedziała, że Grace usiłuje pomóc, ale skutek był wręcz odwrotny. Absolutnie nie należało przypominać Maxowi o tym, że ostatnio wciąż się spierają.

Chociaż prawdę mówiąc... gdyby to od niej zależało, to chętnie urządziłaby Maxowi dziką awanturę. Zawsze starała się przy nim hamować, tak wiele przemilczała. Jakim cudem mogłaby być otwarta i szczerą wobec kogoś innego, skoro tyle ukrywała przed Maxem? Mężczyznę, na którym najbardziej jej zależało?

Poczuła, że błędnie. Nagle zrozumiała bowiem, że balansuje niebezpiecznie blisko miłości do Maxa. Nie tylko lubiła go jak starego przyjaciela. Niewiele brakowało, aby po uszy się w nim zakochała.

Nie wolno do tego dopuścić. Wystarczająco dużo w życiu wycierpiała, a Max oznaczał kłopoty.

Gdy tylko wjechał na podjazd przed domem Grace, natychmiast wyskoczyła z auta.

- Do zobaczenia - rzuciła przez ramię, dosłownie umykając do domu. Wolałaby odwołać wspólny lunch, ale nie wypadało tego zrobić, a Max miał na dodatek zamiar łowić nowe zamki.

Przed czym chciał ją chronić? To on stanowił dla niej największe zagrożenie.

Po lunchu Grace wymówiła się zmęczeniem i poszła do domu, a Max zaczął znęcać się nad drzwiami. W Sacramen-

to wpadł do swojego mieszkania i przebrał się w dzinsy oraz sportową koszulę, lecz z powodu gorąca już zdążył ją zdjąć.

Gdyby chodziło o innego półnagiego mężczyznę, Annie pewnie mniej przejmowałaby się skutkami upału. Ale teraz jak urzeczona gapiała się na Maxa.

Weź się w garść, skarciła się w duchu, usadowiona w przyjemnym cieniu. Widziała Maxa bez koszuli wielokrotnie, na przykład wtedy, gdy instalował w ogrodzie fontannę, lecz pierwszy raz patrzyła na jego nagie ciało po tym, jak ją pocałował.

W ramach lekcji, pomyślała cierpko. Może kiedyś wspomni tamten wieczór i się roześmieje... może wtedy, gdy będzie miała ze sto lat i sklerozę.

- Max? - Annie podparła brodę ręką.
- Tak?
- Gdzie nauczyłeś się naprawiać różne rzeczy?
- Nie zawsze byłem architektem. - Max błysnął w uśmiechu równymi, białymi zębami. - Podczas studiów na Harvardzie pracowałem jako robotnik budowlany.
- Myślałam, że twój ojciec opłacał chesne.

Max uważnie patrzył na nowy zamek, usiłując zignorować przyływ frustracji. Nie lubił rozmawiać o swoich rodzicach, lecz Annie nie zasługiwała na to, aby ją zbyć byle czym, ponieważ poruszyła drażliwy temat.

- Cóż, ojciec zamierzał płacić za moje studia, ale okazało się, że potrzebuje pieniędzy na kolejne alimenty.
- Przykro mi. - Oczy Annie pociemniały. - Nigdy o tym nawet nie wspomniałeś.

W ogóle nie lubisz mówić o sobie. Czy spotkało cię w życiu wiele przykrości?

- Och, nie roztkliwiał się nade mną. Harówka na budowie dużo mnie nauczyła.
- Naprawdę?
- Nie ma tego złego... - Max z zadowoleniem pokiwał głową, bez problemu obracając klucz w zamku. Uwielbiał projektować budynki, czasem jednak potrzebował zajęcia typowo fizycznego. Był jednym z tych architektów, którzy od początku do końca pilnują budowy, doprowadzając robotników do szału.

Annie przyglądała się jeszcze przez chwilę, po czym wstała i przeciągnęła się. Z powodu upału włożyła szorty i trykotową bluzeczkę bez rękawów, zapinaną z przodu na drobnutkie guziczki. A Max najchętniej rozpiąłby je wszystkie...

- Myśli godne nastolatka - zamruczał, wchodząc do salonu, aby kontynuować robotę.

Podobnie jak jego babcia, Annie też nie miała u siebie klimatyzacji, więc otarł pot z czoła.

- Tak lepiej? - miękko spytała Annie, włączając wielki wentylator.

- Doskonale, dzięki. - Poczul przyływ uczuć, które powinny skłonić go do panicznej ucieczki. Przez całe popołudnie wbrew własnej woli fantazjował o Annie, wyobrażał sobie ich oboje w namiętych uściskach, lecz najbardziej podziałało na niego to pytanie, zadane z prawdziwą troską w głosie. - Może stąd pójdziesz, bo zaraz będę hałasował wiertarką.

Stara wiertarka zawyła przeraźliwie, gdy przycisnął wiertło do drewna. Może już za kilka miesięcy Annie będzie mieszkać tutaj ze swoim mężem, i to on zacznie

używać tych wszystkich narzędzi ze składziku, który Max jako trzynastolatek pomógł zbudować ojcu Annie.

Jeśli ona wyjdzie za mąż, to Max już nigdy nie będzie miał okazji wziąć do ręki owych narzędzi. Prawdopodobnie przestanie wpadać do Annie na obiad, a już na pewno nigdy nie pocałuje jej na ganku.

Na ganku?

W ogóle już jej nie pocałuje. Koniec, kropka.

Tak się zdenerwował, że niechcący dziabnął się wiertłem w kciuk i głośno zaklął.

- Żyjesz? - Annie natychmiast wbiegła do pokoju.

- A jak myślisz? - warknął, ale się zmytygował, gdy się wzdrygnęła. Był wściekły na siebie, ponieważ nie potrafił być obojętny na myśl, że Annie będzie należeć do innego.

- Przepraszam - szepnęła. - Przyniosę apteczkę. - Annie znikła w korytarzu.

- Niech to diabli. - Max oparł czoło o futrynę. Annie niczemu nie była winna. Sam się uparł, że zainstaluje nowe zamki.

- Bardzo krwawi? - Annie przyniosła wielką apteczkę.

- Wcale.

- Pokaż.

Westchnął, gdy uklękła obok i zaczęła uważnie oglądać jego rękę. Chciał powiedzieć, że muśnięcie wiertłem to głupstwo, ale milczał, ponieważ dotyk jej dłoni był cudowny. A kontrast między jej jasną karnacją a jego dużo ciemniejszą skórą budził dziwne, lecz przyjemne uczucia. Max nie miał pojęcia, co Annie sądzi o jego indiańskim

pochodzeniu. Nigdy o tym nie rozmawiali, ponieważ unikał również i tego drażliwego tematu.

- Jestem taki ciemny. - Rozprostował palce na jej udzie. - Zwłaszcza w porównaniu z tobą.

- Wiesz, że nie mogę się opalić - mruknęła.

Zauważył, że się zarumieniła, a jej oddech stał się szybszy i płytszy.

- Ja też.

- Masz piękną skórę - szepnęła Annie.

- Naprawdę?

- Skinęła głową, wpatrzona w jego długie palce.

- Jeden z moich dziadków był Apaczem. Dlatego taki ciemny ze mnie typ.

- Wiem. Grace o tym wspomniała.

- Niektórym kobietom to przeszkadza, inne fascynuje.

Annie podniosła wzrok i ujrzała w czarnych oczach ten specyficzny wyraz, gniewny błysk, który zawsze oznaczał, że Max otacza się murem. Za pierwszym razem, dawno temu, trochę się przeraziła. Ale później, gdy poznała Maxa lepiej, zrozumiała, co nim kieruje. W chwilach cierpienia wołał zamknąć się w sobie i trzymać cały świat na dystans.

- To oczywiste, że kobieta może być tobą zafascynowana. - Annie starannie dobierała słowa. - W końcu nie jesteś największym brzydalem w kraju.

- Wielkie dzięki - odparł ze śmiechem.

- Uważam, że ten dodatek indiańskiej krwi tylko podnosi twoją atrakcyjność.

- Więc tobie to nie przeszkadza?

- Niby czemu? - spytała szczerze zdumiona.

- No właśnie. - Musnął palcem czubek jej nosa. - Mówiłem ci kiedyś, jak bardzo cię lubię, Annie James?

- Eee... chcesz lemoniady?

- Chętnie się napiję.

-Zaraz przygotuję. - Chwyciła apteczkę i pomknęła do kuchni, gdzie przez chwilę oddychała głęboko, karcąc się w duchu za kompletny brak zdrowego rozsądku. Lecz ostatnio wszystko działo się tak szybko, jej zmysły się budziły, coraz śmielej odzywało się pożądanie - silniejsze, niż mogłaby przypuszczać.

A Max wciąż kręcił się w pobliżu i burzył jej spokój. W ciągu minionego tygodnia prawie nie ruszał się z Mitchellton. Trzeba jakoś sprawić, aby na dobre wrócił do Sacramento.

Annie wyjęła z szafki stary wyciskacz do cytrusów. Prawie całe wyposażenie kuchni było równie wiekowe - zastawa stołowa z przydymionego, zielonkawego szkła, którą matka Annie zbierała przez pół życia, sześćdziesięcioletnie patelnie i garnki z ciężkiego żeliwa, porcelanowe kubki, w których Annie siała różne zioła. Lubiała te starocie. Sklep nie przynosił dużego dochodu, ale ona miała niewielkie potrzeby, a dom był splacony, więc co miesiąc i tak odkładała trochę grosza.

Całe pomieszczenie wkrótce wypełnił świeży, ostry aromat cytryn. Max lubił mocny, słodki napój, więc dodała więcej soku i cukru niż zazwyczaj.

- Skończyłeś? - spytała, wręczając Maxowi wysoką szklanę.

- Prawie. - Podziękował uśmiechem i wypił duży haust.

- Ale pycha. Robisz najlepszą lemoniadę na świecie.

- Powtórzę to Grace.
- Skarżypyta - zażartował. W dzieciństwie sporo rozrabiał, lecz Annie nigdy nie zdradziła babci prawdy o jego licznych wyczynach, choć często straszyla, że go wyda. Była najbardziej godną zaufania osobą, jaką znał. - Zamki już zainstalowane, ale muszę jeszcze sprawdzić okna.
- Daruj sobie to sprawdzanie. Pewnie masz na głowie większe problemy.
- Nie. - Nic nie wydawało się ważniejsze od bezpieczeństwa Annie.
- Ale...
- Nie protestuj, tylko daj mi jeszcze lemoniady.
- Jesteś okropny.
- Wiem. - Posłał jej swawolny uśmiezek i wrócił do pracy. Okazało się, że okna są w lepszym stanie niż drzwi. Tylko jedno wymagało drobnej naprawy, z czym poradził sobie w kilka minut.
- Obiecuj, że wieczorem i wychodząc gdziekolwiek, zawsze będziesz wszystko zamykała - zażądał przed wyjazdem.
- Tak, tatusiu.
- Ja nie żartuję, Annie.
- Dobrze, niech ci będzie. - Skrzywiła się, gdy położył klucze na jej dłoni. - Ale to głupota. W Mitchellton nie zamykamy niczego na cztery spusty.
- To źle. Przyjadę w sobotę i zabiorę cię na jarmark. Babcia nie jedzie, więc wybierzemy się tylko we dwoje. Nie zaszkodzi, jeśli Kendrick i McConnell uznają nas za parę. Annie bezwiednie westchnęła. Może Josh i Parker rze-

czywiście potrzebowali takiego wyzwania, ale nie uda się jej nic osiągnąć, jeśli Max wciąż będzie tuż obok. Poza tym stanowił najgorsze zagrożenie dla jej serca.

- Och, teraz już sama sobie poradzę - zapewniła z przekonaniem. - Nie musisz tracić na mnie więcej swego cennego czasu.

- Wcale go nie traciłem - odparował zirytowany. - Nie mów tak.

- Max...

- Annie - powiedział, przedrzeźniając jej ton. - Do zobaczenia w sobotę. Włóż coś ładnego. Chyba chcesz, żeby wszyscy patrzyli tylko na ciebie? - Zachichotał, gdy pokazała mu język. - Chociaż... - Zawiesił głos. - Ty we wszystkim wyglądasz olśniewająco, więc nie musisz się stroić.

- Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ Max pocałował ją w usta.

- Mmm... to było miłe - stwierdził z powagą, pomachał na pożegnanie i wyszedł na zewnątrz.

Zaś Annie bezsilnie oparła się o framugę i musnęła palcami wargi, rozstrojona, jak nigdy dotąd.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Nie musisz tracić na mnie więcej czasu”.

Max zdzielił poduszkę pięścią i spiorunował wzrokiem sufit. Nigdy nie uważał czasu spędzonego z Annie za stracony, i bardzo zirytował się tym, że tak gładko go splawiła.

Do licha, przecież dopiero rozpoczęła to swoje polowanie. Nadal mógł okazać się pomocny.

„Teraz już sama sobie poradzę”.

Akurat. Takie uczciwe, naiwne, słodkie niewiniątko jak ona, łatwo może paść ofiarą jakiegoś cynicznego podrywacza.

„Josh spytał, czy może zadzwonić”.

Max chwycił poduszkę i cisnął nią o ścianę. Nie chciał, żeby Josh Kendrick dzwonił do Annie. Ani żeby robił to Parker McConnell, co wydawało się nieuniknione. Annie zawsze wyglądała ślicznie, lecz obecnie rozkwitła dzięki cudownej pewności siebie i przeświadczeniu, że naprawdę jest atrakcyjna.

Rzeczywiście taka była.

Lecz nadal potrzebowała swego starego, sprawdzonego przyjaciela. Czyli jego.

- Powiniennem zamknąć ją w pokoju na klucz. Nie, to nie tak! - warknął sfrustrowany.

Na nocnej szafce rozdzwonił się budzik. Trzepnięty

ręką Maxa przeleciał przez pokój, upadając na podłogę, wydał zabawny dźwięk i rozsypał się w drobny mak.

- Świetnie. Nie cierpiałem tego zegarka. - Max zwał się z łóżka i pojechał do pracy. Harówka zawsze pomagała mu opędzić się od ponurych myśli.

Lecz dzisiaj nie zdała się na nic.

W czwartek Max prawie chodził po ścianach.

Tyle razy nakrzyczał na sekretarkę, iż nawet zagroziła, że złoży wymówienie. Sprzątaczką już odeszła, a on zaczął się zastanawiać nad zmianą miejsca zamieszkania. To wychuchane osiedle z trawnikami pod linijkę nagle wydało się Maxowi strasznie nudne. Wręcz nie mógł znieść widoku zadbanych klombów i równiutkich krawężników.

- Masz. - Sekretarka położyła na biurku listę adresów z agencji obrotu nieruchomościami. - Ten dom ze strony dwudziestej siódmej ostatnio poprawił ci nastrój. Jeśli tym razem nie zadziała, lepiej tu nie wracaj.

- Czasami zapominasz, kto dla kogo pracuje - burknął niepokieszony.

- Nie pyskuj. - Ellen Manzke, starsza pani z siwiejącymi włosami, była jego sekretarką od wielu lat. Gdy otworzył własne biuro projektów, przeniosła się do Sacramento, i oboje wiedzieli, że ich współpraca potrwa jeszcze długo. Ellen nigdy się z nim nie patyczkowała, umiała wygarnąć prawdę, w oczy.

A co mi tam, pomyślał, patrząc na zadrukowane kartki. Ostatecznie mógł jeszcze raz obejrzeć tamtą posesję. Znajdowała się w rejonie delty, na wysokim brzegu rzeki, nie daleko Mitchellton. Przy okazji warto wpaść do sklepu Annie, zobaczyć się z nią.

Dowiedzieć się, czy dzwonił szeryf.

Zgoda, nigdy nie twierdził, że jest święty. Może najlepiej zapanowałby nad swoimi uczuciami do Annie, gdyby jak najszybciej wydał ją za mąż. Gdy chodziło o kobiety zamężne, kierował się żelaznymi zasadami. Nigdy z nimi nie romansował.

Parkując przed sklepem, zaczął mieć wątpliwości, czy należało tu przyjeżdżać. Ale już było za późno na ucieczkę, a poza tym rzeczywiście chciał sprawdzić, co z szeryfem.

- Annie?! - zawołał, wchodząc do wnętrza. Na ladzie ujrzał wylegającego się kocura. - Cześć, Tigger. Jestem twoim dłużnikiem, stary. Buffy się nie odezwała od tamtego dnia, gdy podarowałaś jej mysz.

Tigger ziewnął i zamruczał przymilnie. A wychodząca z zaplecza Annie oniemiała na widok Maxa rozmawiającego z jej kotem.

Starła się jak najrządziej myśleć o Maksie, toteż jego nieoczekiwany przyjazd wcale jej nie zachwyił.

- Witaj, Annie.

Na twarzy Maxa zobaczyła uśmiech i natychmiast zrobiło jej się gorąco. No dobrze, nie zdołała o nim zapomnieć, ale przecież istnieją granice odporności na męski urok.

- Co tu robisz w środku tygodnia?

- Muszę obejrzeć pewną nieruchomość. Wybierzesz się ze mną?

- Oczywiście - zgodziła się bez zastanowienia. Max nigdy nie przyjeżdżał do Mitchellton w dni robocze, może więc dzisiaj potrzebował jej w charakterze doradcy. - Bert, wychodzę - powiedziała do swojego pracownika - W razie czego obsłuż klientów, dobrze?

- Jasne, szefowo.

Bert zniknął w magazynie, a ona zauważyła, że Max póżera ją wzrokiem. I zaraz zaczęła się martwić, jak wygląda. Miała na sobie obcisłe džinsy i bluzeczkę, która kończyła się pięć centymetrów powyżej talii i odsłaniała pępek. Zdaniem Annie był to niezwykle śmiały strój.

Musiała przyznać, że jej nowe stroje spowodowały wzrost obrotów w sklepie. W ciągu kilku minionych tygodni przyszło dużo więcej klientów. Farmerzy osobiście kupowali towary, które do tej pory zamawiali z katalogów, więcej osób interesowało się drobiazgami dla domowych zwierzaków. Annie zawsze się zdawało, że konserwatywni mężczyźni nie aprobują faktu, że sklep z artykułami rolniczymi prowadzi kobieta. Ale jej nowe, ładne fatałaszki nie budziły niczyjej niechęci. Przeciwnie, na ogół się podobały i były powodem miłych żartów.

Kobiety także czasem wpadały, lecz głównie z ciekawości. Po niedzielnej mszy chciały się dowiedzieć, jak rozwija się znajomość z szeryfem i nauczycielem.

Annie chętnie pogadałaby o tym wszystkim z Maxem, lecz poruszając ten temat, mogłaby znów doprowadzić do niezręcznej sytuacji, a tego wołała uniknąć.

- Chodzi o jakąś parcelę dla klienta? - spytała, idąc do bmw. Dopiero podczas jazdy zdała sobie sprawę, że automatycznie przyjęła pomoc Maxa przy wsiadaniu do auta.

- Właściwie myślałem o kupnie tej posiadłości dla siebie. Ma fantastyczną lokalizację, mnóstwo tam wielkich drzew, jest widok na rzekę...

- Szukasz domu... dla siebie? - Annie z trudem ukryła niebotyczne zdumienie.

- Jeszcze nie zdecydowałem. Ale to byłaby dobra inwestycja.

Skręcili z szosy w boczną, wąską drogę i Annie zdziwiła się jeszcze bardziej.

- Chcesz kupić dom Mitchellów?! - zawołała z zachwytem na widok stojącej na wzniesieniu, okazałej rezydencji. Oglądała ją ze sto razy, lecz tylko z zewnątrz.

- Wciąż się zastanawiam. Mam prawo pierwokupu, ale wygasa za dwa tygodnie.

- Zawsze chciałam zobaczyć, jak jest w środku.

- Naprawdę? - Max zaparkował na podjeździe, obeszł auto i otworzył drzwiczki z drugiej strony. - Tak się składa, że mam klucz.

Annie zaśmiała się radośnie i wbiegła za Maxem na zaniedbany ganek. Oczywiście знаła historię tego wiekowego domu, ponieważ Mitchellton nazwano tak właśnie na cześć rodziny Mitchellów. Byli bogaci, a tutejsza rezydencja służyła im kiedyś jako miejsce letniego wypoczynku, lecz od kilkadziesiąt lat stała pusta. Annie najbardziej ekscytowała się tym, że pierwsi mieszkańcy tego domu uchodzili za bardzo kochające się małżeństwo.

Max otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do wnętrza. Weszła, wstrzymując oddech, i natchmiast znalazła się w objęciach historii.

- Jak tu pięknie - szepnęła oczarowana, podziwiając wspaniałe, szerokie schody z rzeźbioną balustradą oraz kryształowy żyrandol.

Max też rozejrzał się wokoło, ale wydawał się daleki od euforii. Rezydencja była stara i niestety w fatalnym stanie technicznym.

- Grunt z pewnością jest wart swojej ceny, ale tę chałupę trzeba zrównać z ziemią i zbudować coś sensownego.
- Chyba żartujesz!
- To ruina, skarbie. Muszę ją zburzyć.
- Nie ośmielisz się! - zawołała oburzona. - Ten dom jest piękny.

Max patrzył na nią z bezradną miną. Jako architekt cenił antyki i zabytki, a to miejsce miało wiele uroku, lecz restaurowanie tak zniszczonego budynku w zapomnianej przez świat delcie rzeki Sacramento było całkiem bez sensu. Koszty przewyższyłyby ewentualny zysk ze sprzedaży.

- Annie, to tylko stary dom.
- Nie, to pomnik historii, miłości, namiętności. Nie wolno ci tego zniszczyć.
- Zgoda, to kawałek historii. Tej z ery prohibicji. Podobno wśród tamtych drzew pędzono wspaniały bimberek w ilościach handlowych.
- Więc to sławna okolica.
- Bez przesady. Masz pojęcie, ile pieniędzy należałoby wpakować w odnawianie tego wszystkiego?
- A byłoby warto? Sądzisz, że konstrukcja i fundamenty są dobre?
- Eee... raczej tak - przyznał niechętnie. Ale za nic w świecie nie powiedziałaby na głos, że z rozkoszą własnoręcznie zabrałby się za reperowanie schodków ganku i tynkowanie tych odrapanych ścian. Musiał jednak pamiętać o sprawie zasadniczej - jego klienci nie byli zainteresowani zabytkami z ubiegłego stulecia. Woleli luksusowe, nowoczesne rezydencje.

- Max, proszę cię -jęknęła Annie, kładąc rękę na jego ramieniu. Była taka zmartwiona, że westchnął.

- Odrestaurowanie tego...

- Mógłbyś sporo robót wykonać samodzielnie - prze-
rwała mu, podekscytowana. - Przecież pracowałeś na bu-
dowie. Dam głowę, że śpiewająco dałbyś sobie radę. A ja
bym ci pomogła.

- Niby kiedy? Wkrótce wyjdiesz za mąż, urodzisz
dziecko.

- To jeszcze nic pewnego... - Blask w jej oczach przy-
gasł. - Może nigdy nie... sam wiesz. - Wzruszyła ramiona-
mi, jakby sugerowała, że nie chodzi o coś ważnego, lecz
chyba była bliska płaczu.

Max wziął ją w objęcia i łagodnie pogłaskał po plecach.
Chciał ukoić jej ból, lecz nie wiedział jak, ponieważ przez
tyle lat unikał sytuacji wymagających zaangażowania emo-
cjonalnego.

Ale Annie umiała sobie radzić w takich okolicznościach.
Przed laty straciła wspaniałego, ukochanego ojca i żyła da-
lej - odważnie i godnie. Max dopiero niedawno zdał sobie
sprawę z jej imponującego hartu ducha. Annie nigdy się nie
poddawała, zachowywała wrodzony optymizm nawet wtedy,
gdyby nigdy nie urodziła upragnionego dziecka. Cierpiała-
by, lecz w końcu doszłaby do siebie.

Dziecko Annie...

Na tę myśl Max poczuł przyływ żalu. Annie byłaby cu-
downą matką. Jej dziecko dorastałoby otoczone miłością,
bezpieczne i zadbane, a ona okazywałaby mu bezbrzeżną
serdeczność, niezależnie od tego, ile smug po brudnych
paluszkach odkryłaby na drzwiczkach lodówki.

Zabierałaby swoje dziecko na ryby, bawiłaby się z nim w strumieniach wody z ogrodowego zraszacza.

Tak, Annie byłyby cudowną matką... i równie wspaniałą żoną.

Max zamknął oczy. Wdychając słodki zapach Annie, całym sercem żałował, że nie jest innym człowiekiem, że nie może cofnąć się w przeszłość aż do swojego dzieciństwa, aby nauczyć się wierzyć w szczęśliwe zakończenia. Ale znał siebie i wiedział, że nie nadaje się na męża i dlatego nie powinien z nikim się wiązać.

- Na pewno będziesz matką - szepnął. -I żoną.
- Myślisz?
- Jasne.

Oparła się o niego, akceptując ukojenie, które oferował. Na ogół nie zachowywał się w ten sposób. Pochlipujące kobiety zawsze go przerażały, na ich widok zmykał, gdzie pieprz rośnie. Boże, Max gotów teraz pomyśleć, że ona nim manipuluje...

- Och, przepraszam. - Annie raptownie się odsunęła. - Nie myśl tylko, że próbowałam cię podejść z powodu tego domu.

- Oczywiście, że nie. - Max spojrzał na nią trochę dziwnie.

- Ale nie każesz go zburzyć?
- Kochanie, jeśli nie ja, zrobi to ktoś inny.
- Ale... - Przygryzła wargę i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Dobre duchy przebywające w tym staroświeckim wnętrzu nie pokazały się Maxowi. On przecież nie wierzył w wielką miłość - taką, która umie pokonać nawet śmierć.

Lecz Annie wiedziała, że takie uczucie istnieje.

Ojciec darzył nim jej matkę nawet wówczas, gdy odeszła. A gdy umierał, jego twarz rozświetliła się nieziemską radością, jakby znów zobaczył ukochaną kobietę. Jakby ona znów znalazła się przy nim. Annie lubiła myśleć, że właśnie tak było.

- Skoro już tu jesteśmy - powiedziała powoli - obejrzymy wszystko, dobrze?

- Zgoda. Ale nie próbuj odwieść mnie od decyzji zburzenia tej ruiny.

- Zobaczymy. - Annie posłała mu promienny uśmiech.

- Annie...

- Chodź. - Pociągnęła go za rękę. Skoro planował zburzenie domu, to zapewne nawet go dobrze nie obejrzał. Może więc zmieni zdanie, gdy dostrzeże piękno tej wiekowej rezydencji.

W niektórych pomieszczeniach stały meble, przykryte płóciennymi płachtami, szyby w oknach były oryginalne, niektóre typu witrażowego, w piękne, kwiatowe wzory.

- To chyba w stylu Tiffany'ego, prawda? - Annie wzięła jeden z pokrowców i wytarła kawałek okna.

- Przypuszczalnie dobra kopia. Właściciel sprzedaje dom z całym wyposażeniem, więc nie zostawiłby cennego antyku.

- Hmm. Nigdy nie wiadomo.

Podeszła do dwuskrzydłowych drzwi i oniemiała na widok przestronnego ogrodu i wielkiej szklarni. Nadal znajdowały się tu wiklinowe fotele i stoliki, a także od dawna wyschnięte fontanny i mała sadzawka. Annie natychmiast zapragnęła je oczyścić, napęlić wodą oraz po-

sadzić w wielkich donicach mnóstwo orchidei, pnących roślin i palm sięgających aż pod szklany sufit.

Widząc zachwyconą minę Annie, Max zrozumiał, że jego dalsze opory są bezcelowe. Wykluczone, aby zdecydował się zburzyć ten dom lub pozwolił to uczynić komuś innemu.

I zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze.

Przywiózł tu Annie, ponieważ tak naprawdę spodziewał się, że obudzi w nim ducha rasowego architekta, który potrafi docenić dzieło kolegi z ubiegłego wieku i zapragnie przywrócić je do dawnej świetności.

Annie czule pogłaskała mosiężną żabę siedzącą na mosiężnym liściu w pustej sadzawce, a Max wziął głęboki oddech.

- Dobrze, Annie. Dom zostaje. Ale będziesz musiała mi pomóc. Powiedzmy, że... w rewanżu za moje światło rady, których ci udzieliłem.

- Dzięki, Max! - Annie radośnie podskoczyła i zarzuciła mu ręce na szyję. - Wiedziałaam, że nie mógłbyś zniszczyć tego domu!

Nadal nie miał pojęcia, co z szeryfem, ale przestał się tym przejmować. Najważniejsze, że trzymał Annie w objęciach, a ona patrzyła na niego z bezbrzeżną ufnością w oczach.

Annie lekko podciągnęła górę letniej sukienki bez ramiączek, pod którą nawet nie dało się włożyć stanika. Może trzeba było włożyć coś mniej ryzykownego?

Zmarszczyła nos, słysząc dzwonek.

Max.

Cieszyła się, że postanowił nie burzyć rezydencji Mi-

tchellów, nadal jednak nie była pewna, czy dobrze robi, idąc z nim na karnawałowy jarmark.

Jeszcze raz zerknęła w lustro, chwyciła cienki sweterek i zbiegła na dół.

- Jesteś trochę za wcześnie - oświadczyła, otwierając drzwi.

- Powinnaś była najpierw spytać, kto to.

- Wiedziałam, że to ty.

- Hmm. - Max wręczył jej bukietek stokrotek. - Dla ciebie.

- O... dziękuję. - Ach, ten Max, zawsze potrafił ją rozczulić. A w dzinsach, białej koszuli i skórzanej marynarce wyglądał wspaniale. Był taki seksowny... - Zaczekaj, wstawię je do wody i możemy jechać.

Na zewnątrz gwałtownie wciągnęła powietrze, ujrawszy lśniącego forda mustanga rocznik 1965.

- Skąd go masz?

- Pożyczyłem. Jedno zadrapanie i nie żyję.

- Rozumiem. - Zachichotała i wsunęła się na fotel.

Auto miało takie niskie zawieszenie, że pomocna dłoń Maxa bardzo się przydała.

- Niech ten wieczór będzie rekompensatą za bal matu-ralny na który nie mogłaś pójść.

Annie wzruszyła się słowami Maxa. Dowodziły wrażliwości, o którą by go nie podejrzewała.

- Ale pamiętaj - żadnego wystawiania w kiosku poca-funków - dodał stanowczym tonem. - Możesz dać buziaka tylko mnie.

- Dobrze - mruknęła zgodnie, choć uległość nie leżała w jej naturze.

Silnik mustanga ryknął i sportowe auto z piskiem opon wyjechało na drogę, zostawiając za sobą tuman kurzu. Wszystko to wydawało się takie ekscytujące, toteż Annie spuściła głowę i cicho się roześmiała. W tej chwili była szczęśliwa, lecz gdzieś w głębi serca czaił się smutek. Max dawał jej tak wiele... i jednocześnie tak mało.

Cieszyła się każdą sekundą tej bliskości, ponieważ wiedziała, że radosne chwile z Maxem muszą wkrótce się skończyć. Niosły ze sobą zbyt wielkie ryzyko. Od pewnego czasu była strasznie zagubiona i nie miała pojęcia, jak zdoła się w kimkolwiek zakochać. A przecież tak bardzo tego pragnęła. Jak niczego innego.

Gdy przyjechali na szkolne boisko, mieszkańcy Mitchellton już bawili się w najlepsze. Karnawałowy jarmark od lat przynosił spore dochody, które przeznaczano na finansowanie potrzeb miejscowego szkolnictwa. Oprócz muzyki oraz handlowych kiosków atrakcją było też nieduże, wesole miasteczko z górską kolejką i diabelskim młynem.

Uczniowie udekorowali wszystko, co się dało, czerwonymi, białymi i niebieskimi lampkami.

Annie i Max najpierw zafundowali sobie jazdę kolejką, później rzucali plastikowymi piłeczkami do miski ze złotą rybką, a teraz Max usiłował wygrać pluszowego misia, ciszkając strzałkami w baloniki.

Annie pojadła cukrową watę, przyglądając się jego zmaganiom. O swoich matrymonialnych planach przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy usłyszała dźwięczny głos Parkera McConnella.

- Annie... miałem nadzieję, że cię tutaj spotkam.

- Cześć, Parker. Miło cię widzieć.

Posłała nauczycielowi przyjacielski uśmiech, co nie umknęło uwagi Maxa. Cóż, spodziewał się, że Parker i Josh znajdą Annie nawet w największym tłumie. Dziewczyna tak pełna słodyczy jak ona, musiała zafascynować każdego niezobornego mężczyznę. Ci dwaj już jedli jej z ręki.

Max, niestety, także.

Nagle tak się wkurzył, że wpakował piętnaście strzałek prosto w cel. Wtedy zażądał strzałek za dwadzieścia dolarów.

- O rany - jęknął nastolatek. - Już nie nadążam z dmuchaniem balonów.

- To dawaj misia - warknął Max, wpychając do puszki na datki cztery dwudziestki, a chłopak natychmiast się rozpromienił.

- Och, za tyle kasy nawet nie musi pan niczym rzucić - stwierdził z wyraźną ulgą, wręczając mu wielką maskotkę.

Max pomaszerował do Annie nadal gawędzącej z nauczycielem, i wepchnął jej misia w dłonie.

- Wygrałem go dla ciebie - oznajmił z dumą.

- Dzięki, Max. - Annie przytuliła zabawkę, a on trochę złagodniał. Lecz zaraz łypnął na Parkera i znów się wściekł, ponieważ nauczyciel dosłownie pożerał Annie wzrokiem.

- Jak tam niedzielny trening? - Max ostro wkroczył do akcji. - Wcześniej pan zaczyna. Do rozpoczęcia szkoły jeszcze kawał czasu. Zamierza pan wyselekcjonować najlepszych zawodników?

- Chłopcy chcieli trochę poganiać po trawie. A co do

selekcji... nie jestem z tych, którzy pracują tylko z przyszłymi gwiazdami futbolu. Moim zdaniem lepiej nauczyć dzieciaki dyscypliny, wpoić zdrowe, sportowe zasady. W takiej małej społeczności wszyscy uczniowie muszą wyjść na boisko, a mnie to odpowiada. W życiu nie odmówiłbym nikomu prawa do gry w drużynie.

No dobrze, Max w duchu musiał przyznać, że ten facet jest w porządku. Mieszkańcy Mitchellton zapewne nie mieliby nic przeciwko wygraniu stanowych mistrzostw, lecz rzeczywiście było to nierealne z powodu skromnej liczebności ciała uczniowskiego. A Parker niewątpliwie lubił dzieci.

Max zasepił się jeszcze bardziej. Niechcący właśnie sprawił, że nauczyciel jeszcze zyskał w oczach Annie.

- Do zobaczenia, trenerze. - Max zdecydowanie otoczył ramieniem talię Annie. - Idziemy się przejechać na diabelskim młynie.

- Co ty wyprawiasz, Max? - syknęła, gdy włókł ją do kolejki chętnych.

- Zabieram cię na przejażdżkę.

- Ale Parker...

- Umówiłaś się na randkę ze mną, nie z Parkerem.

- Max. - Annie najwyraźniej usiłowała zachować spokój. - To naprawdę miło z twojej strony, ale nie jesteśmy na randce, a Parker był taki sympatyczny.

- Zauważyłem.

- Naprawdę sama sobie poradzę. Nie musisz mnie pilnować.

- Akurat.

- Starszy brat - prychnęła gniewnie. Nie potrzebowała

nikogo takiego. Pragnęła zdobyć mężczyznę, który by ją kochał.

Pragnęła... Maxa. I dlatego tak cierpiała... ponieważ wiedziała, że jego nigdy nie usidli.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

Wsiedli do dwuosobowego wagonika i Annie dopiero teraz stwierdziła, jaki jest malutki. Spróbowała odsunąć się od Maxa, ale nie było miejsca, więc bezwiednie zadrzała.

- Mówiłem, żebyś nie zostawiała swetra w samochodzie - karzącym tonem przypomniał Max. - Włóż moją marynarkę.

- Nie, ciepło mi.

- Nie upieraj się. - Mimo jej protestów opatulił ją marynarką i objął. - Doskonale. W ten sposób jest więcej miejsca.

Wielkie koło powoli wykonało pierwszy obrót, co oznaczało, że ta rozstrajająca jazda wkrótce się skończy. Annie westchnęła z ulgą.

Ulgą nie trwała długo.

Rozkrzyczane nastolatki siedzące w innych wagonikach zaczęły bowiem wyczyniać w nich jakieś dzikie harce.

- Co oni robią? - Annie odruchowo zacisnęła palce na zabezpieczającej poręczy.

- Usiłują zatrzymać diabelski młyn. - Max wzruszył ramionami. - Ale powinni skoordynować swoje ruchy, żeby porządnie rozhuścić wagoniki.

- Skąd wiesz?

- Z własnego doświadczenia. Nie ma, jak zawisnąć

wysoko w powietrzu z ładną laską w ramionach. - Max uśmiechnął się swawolnie. - No, nareszcie. Udało się im. A my siedzimy w najlepszym miejscu.

Rzeczywiście znajdowali się na samym szczycie. Gdyby nie zdenerwowanie, Annie z pewnością byłaby zachwycona widokiem kolorowo oświetlonego jarmarku. Ale Max znów zachowywał się jak zaborczy samiec, a w takich sytuacjach ona wciąż nie umiała sobie radzić.

- Max, musimy...

Jego długie palce ujęły ją pod brodę, a protesty stłumił namiętny pocałunek.

RRS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Diabelski młyn znów zaczął się obracać, a Annie uwolniła się z uścisku.

-Co ty wyprawiasz? -jęknęła, patrząc w czarne oczy Maxa.

-Całuję cię, cóż by innego.

-Już nie potrzebuję więcej lekcji.

-To nie była... - Max urwał, żeby nie powiedzieć zbyt wiele. Pocałował Annie tylko dlatego, że szaleńczo chciał to zrobić. Pragnął jej aż do bólu, lecz wiedział, że nie nadaje się na męża. Nie był mężczyzną, jakiego naprawdę potrzebowała.

Operator diabelskiego młyna stanowczo wyprosił młodocianych psotników, lecz na widok Annie i Maxa uśmiechnął się szeroko.

- Wy pewnie nie mieliście nic wspólnego z tymi wyczynami. Możecie zostać.

- Dzięki, ale już wysiadziemy. - Annie gorączkowo szukała dźwigni otwierającej blokadę.

- Co się stało? - Max pomógł Annie wysiąść i obrócił ją twarzą do siebie.

- Nic - rzuciła, choć serce krzyczało: bardzo wiele. - Panuję nad sytuacją, Max. Nie musisz się o mnie martwić.

W przyszłym tygodniu idę z Joshem na kolację, a z Parkerem wybiorę się na spływ tratwą po rzece.

- Umówiłaś się? Tak po prostu? Prawie ich nie znasz!
- Więc poznam ich lepiej! - Spiorunowała go wzrokiem. - Dlaczego nie możesz cieszyć się wraz ze mną?
- Cieszę się.
- Właśnie widzę.

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała w kierunku ulicy. Chciała znaleźć się jak najdalej od Maxa. W Mitchellton wszędzie było blisko, mogła więc iść do domu i udawać, że jej serca nie przepęlnia rozpaczą.

-Annie? Dokąd pędzisz?

-Do domu.

Zignorowała przekleństwo Maxa, lecz już po chwili usłyszała za sobą gardłowy pomruk silnika ford mustanga, a Max wystawił głowę za okno.

- Wsiadaj, Annie.
- Idź do diabła.
- Jesteś nierozsądna.
- Właśnie takie są kobiety, ale nie musisz się tym przejmować. Nie jestem twoim problemem.
- Nigdy nie byłaś.
- Świetnie.

Dzielnie szła dalej, chociaż nowe sandaalki już zdążyły zrobić jej bąble na piętach. Starła się skupić uwagę na fizycznym bólu, aby nie myśleć o nieporównywalnie bardziej dotkliwym cierpieniu, które już chyba nigdy nie miało jej opuścić.

- Do licha! - Max raptownie zajechał jej drogę. Skręciła w ścieżkę prowadzącą do nadrzecznego parku.

Nie nadawała się do jazdy autem, a sportowy mustang zapewne był zbyt cenny, aby Max zostawił go na szosie. Co prawda w Mitchellton kradzieże samochodów raczej się nie zdarzały, lecz Max chyba uważał tę miejscowość za stolicę przestępczości.

Za moment okazało się, że Annie go nie doceniła.

- Zaczekaj! - Max już gnał za nią.

Uśmiechnęła się do siebie. Owszem, była niedoświadczoną kobietą z maleńkiego miasteczka, ale nigdy nie pozwalała sobą dyrygować. Na skraju parku zsunęła sandaalki i znikła w mroku pod koroną rozłożystego wiąz. Znała tutaj dosłownie każdy zakątek.

- Myślałaś, że mi uciekniesz? - Max nieoczekiwanie wyciągnął ją zza grubego pnia, a ona mimo woli pisnęła. - Zapomniałaś, że w tej okolicy obściskowały się wszystkie nastolatki. Nadal pamiętam każde dyskretne zacisze w tym parku.

- Skąd mogłam wiedzieć - parsknęła rozjuszona. - Ja z nikim się nie ściszałam.

- Nic straconego. - Max przygarnął ją do siebie. - Oczywiście już nie jesteśmy nastolatkami, ale to nie powinno nas powstrzymać.

- Dlaczego sobie nie odpuścisz? Wcale ci na mnie nie zależy, tylko chcesz, aby wszystko zostało po staremu. Żebyś nadal była dobrą, miłą Annie.

- To nieprawda.

- Czyżby?

- Nie - burknął zirytowany.

- Więc o co ci chodzi?

- Sam nie wiem - mruknął po długiej chwili milcze-

nia, opierając czoło o skroń Annie. - Słowo daję. Mam straszny zamęt w głowie.

Serce Annie ścisnęło się boleśnie, ponieważ w głosie Maxa zabrzmiała autentyczna udreka. Cóż, sens życia nie polegał tylko na zrobieniu zawodowej kariery i posiadaniu domu w mieście. Max przez wiele lat unikał konfliktowych sytuacji, które znał z burzliwych małżeństw swoich rodziców, i teraz widocznie czuł się zagubiony.

- Ja nie mogę tkwić w przeszłości, Max.
- Ale... nie umawiaj się z nimi, Annie. Jeszcze nie.

Proszę, daj mi trochę czasu.

- Wątpię, czy czas coś tu zmieni - odparła z westchnieniem.

Odchylił jej głowę do tyłu i powędrował ustami po szyi, a Annie cichutko jęknęła.

Jeszcze jeden raz. Ostatni. Jeszcze tylko ten jeden pocałunek, który będzie czymś więcej niż lekcją.

Wiedziała, że nie powinna pozwolić, aby Max nawet przez moment całkiem nad nią panował. Ale już było za późno, a ona tak bardzo i od tak dawna go pragnęła.

Max obrócił się z nią w ramionach i posadził Annie na jednym z niedawno ustawionych w parku stolików.

- Max...
- Przepraszam, kochanie... - Max przywołał się do porządku. Za nic w świecie nie chciał jej tak przestraszyć. Zaczął kojąco głaskać ją po plecach, aż wyczuł, że trochę się odprężyła.

Gdzieś w oddali strzelił gaźnik samochodu, w koronie drzewa zahuczała sowa, zaszeleściły liście, lecz poza tym wokoło panowała cisza.

- Wszyscy są na jarmarku - mruknęła Annie.

Max spojrział na nią, lecz w ciemnościach ledwie dostrzegł zarys jej twarzy. Annie naprawdę była cudowna - dobra, mądra i kochająca; zupełnie inna niż wszystkie znane mu kobiety. Jakim cudem wcześniej tego nie dostrzegł?

Znów ją pocałował, trzęsąc się z pożądania, choć wolałby sobie uciąć rękę, niż spłoszyć Annie. Tym razem nie otworzyła ust, a on uśmiechnął się w mroku. Jest taka niewinna, pomyślał z rozczuleniem. I jednocześnie zmysłowa. Pełna rozkosznych sprzeczności i właśnie dzięki temu tak bardzo kusząca. Nigdy nie opuściła tej małej mięsciny, lecz coś mu się wydawało, że to właśnie on przegapił wiele, włócząc się po świecie.

- Jest strasznie ciemno - mruknął. - W ogóle cię nie widzę.

- Zawsze wyglądam tak samo.

- Mmmm... - Powoli przesunął palcami po twarzy, której rysy tak dobrze znał, lecz której nigdy nie dotykał, bo przyjaciele nie mają zwyczaju tego robić. Teraz po raz pierwszy odkrył łagodność łuku brwi, atlasową gładkość powiek, delikatny zarys brody.

A włosy... Max w duchu podziękował opatrznosci za to, że nie zmieniła fryzury. Uwielbiał te długie, kasztanowe włosy, w dotyku śliskie jak płynny jedwab. Ujął miękkie pasmo w dłoń, wyobrażając sobie, jak cudownie byłoby poczuć ich muśnięcie na nagim ciele.

Pochylił się i językiem obrysował usta Annie.

- Och, Max... - Annie rozchyliła wargi.

A on prawie stracił panowanie nad sobą. Całował wiele

kobiet, lecz ta pod każdym względem była zupełnie inna. Nieporównywalnie lepsza.

- Jesteś taka słodka. - Jego szept zabrzmiał gardłowo.

Annie mimo woli zadrżała, zszokowana silnymi doznaniem. Nie była przygotowana na ich intensywność... i na to zdumiewające wrażenie, że jej ciało już nie należy do niej. Nie wiedziała, jak sobie radzić z dojmującymi pragnieniami, z miękkością w kolanach i z uczuciem bolesnej pustki, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła.

Pocałunek trwał chyba całą wieczność, aż w końcu odsunęli się od siebie, gdy zabrakło im tchu.

Nieoczekiwanie ujął wykończony gumką stanik sukienki i ściągnął go aż do talii.

- Nie... - Annie chwyciła nadgarstki Maxa, ale on już odnalazł jej piersi i zaczął je pieścić.

- Są jak aksamit - szepnął.

Pragnął jej intymnych pieszczot bardziej niż czegokolwiek na świecie, obawiał się jednak, że gdyby teraz go dotknęła, chyba nie byłby w stanie się pohamować. Już i tak ledwie nad sobą panował.

- Annie... nie. - Zdecydowanie odsunął jej ruchliwe palce.

- Nie chcesz?

- Do licha, chcę! Ale musimy przestać.

- Dobrze. - Oszołomiona i sfrustrowana, cofnęła się i drżącymi rękami podciągnęła górę sukienki, myśląc z goryczą o tym, że jednak należało włożyć coś innego.

I trzeba było unikać bliskości Maxa Huntera.

- Ani się waż mówić, że udzielałeś mi lekcji - syknęła nie na żarty rozeźlona.

- Nie powiem. Bardzo chciałem cię pocałować. Naprawdę.
- Ro...zumiem - mruknęła, trochę zbity z tropu jego szczerością. - Ale dlaczego zrezygnowałaś?
- Bo jestem dżentelmenem!
- Od kiedy?
- Od dnia, w którym moja najlepsza przyjaciółka poprosiła mnie o pomoc w znalezieniu męża!
- Nie jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i wcale nie prosiłam, żebyś pomógł mi znaleźć męża. Chciałam tylko... och, nieważne - warknęła. To wszystko już nie miało znaczenia. Szarpnęła dół sukienki, zakrywając kolana.
- Proszę cię, zrozum, kochanie.
- Nie nazywaj mnie tak! Jestem Annie, jasne?
- Dlaczego nie podoba ci się „kochanie”?
- Bo przedtem nigdy tak do mnie nie mówiłeś.
- Przepraszam.

Usłyszała, że Max zapina spodnie i zaczerwieniła się. Chyba zwariowała, sądząc, że on będzie się z nią kochał. Jak mogła okazać się taka głupia?

- Musimy porozmawiać. - Max usiadł obok niej na stole, a ona szybko odsunęła nogi na bok. - Miałas rację, mówiąc, że chcę, aby między nami zostało po staremu. Od kiedy wiem, że zamierzasz wyjść za męża, wszystko się we mnie burzy. Boję się, że cię stracę.
- Och, Max - szepnęła z bólem w sercu. - Nie stracisz mnie.
- Nic nie trwa wiecznie. Ludzie kłócą się i rozstają. Ciebie wciągnie nowe życie i zabraknie w nim miejsca dla kogoś takiego jak ja.

- Dlatego nie lubisz się spierać? - Podciągnęła kolana pod brodę i opłotła rękami. - Bo uważasz, że kłótnie to początek końca każdego małżeństwa i przyjaźni?

- Nie wyobrażasz sobie, co to jest dzika awantura - odparł po długiej chwili milczenia. - Nigdy nie byłeś świadkiem czegoś takiego. Ileż to razy zdarzało mi się przywiązać do nowego ojczyrna lub macochy, do nowej rodziny, aż tu nagle... bum, i już jej nie ma.

- To nadal boli, prawda?

Zamknął oczy, lecz Annie nie musiała w nie patrzeć, aby zajrzeć w głąb jego duszy. Jako jedyna znana mu osoba naprawdę go rozumiała.

-Szkoda, że nie mogę uwolnić cię od tego cierpienia - szepnęła. - Ale zawsze będę twoją przyjaciółką. Nigdy nie przestanę. Pewnie nieraz się pokłócimy, ale cię nie zostawię. Kłótnie kończą związek dwojga ludzi tylko wtedy, jeśli oni tego chcą.

- Wiem.

Prawie nieprzeniknione ciemności spowijały ich jak miękki koc. Max westchnął i w zamyśleniu potarł twarz. Jakim cudem znaleźli się w tym punkcie swojej wieloletniej znajomości? Pragnął Annie tak bardzo, że chyba już nigdy nie przestanie, lecz świadomość tego faktu niczego nie łączywała.

- Zamierzasz iść na randkę z trenerem i szeryfem, prawda?

- Tak. - Poczwała, że po jej policzkach stoczyły się dwie łzy. Tyle się wydarzyło, lecz nie zmieniło się nic. Nadal pragnęła mieć męża i urodzić dziecko.

- Szczęściarce.

- Ale nie będzie im łatwo - mruknęła, pociągając nosem, a Max wydał taki dźwięk, jakby ponuro się zaśmiał.
- Przynajmniej nie na pierwszej randce, tak?
- Na pierwszej nie dotrą nawet do pierwszej bazy.
- Pamiętasz, co mówiłaś o różnych rzeczach, których nie doświadczyłaś, gdy byłaś nastolatką? - Max wziął ją za rękę i splótł ich palce ze sobą.

- Tak.

- Więc chyba już wszystko zaliczyłaś.

Z pewnym opóźnieniem zorientowała się, co miał na myśli. Cierpienie i poczucie zagubienia, serce w rozterce... jeśli właśnie to ją wtedy ominęło, to niewielka strata.

Oczywiście były jeszcze radości tamtych lat, ekscytacje związane z czekaniem na pierwszy pocałunek, pierwsze zaproszenie do tańca...

Ale pierwsza miłość w późniejszym wieku nie wydawała się łatwiejsza. Przeciwnie, sprawiała jeszcze większy ból, ponieważ była dojrzałym, trwałym uczuciem. Annie obawiała się, że nie zdoła go zwalczyć do końca życia.

Max przystanął w drzwiach rezydencji Mitchellów. Należała do niego, ale nie czuł z tego powodu żadnej radości. Bez Annie była to tylko stara, zaniedbana chałupa.

Z ciężkim westchnieniem usiadł na szerokich schodach i wlepił wzrok w podłogę, usiłując przeanalizować dręczącą go kwestię. Kiedy Annie stała się dla niego taka ważna? Czy tamtego popołudnia, gdy ozłocona promieniami słońca powiedziała podczas przechadzki nad rzeką, jak bardzo pragnie dziecka?

Czy też tamtego wieczoru, gdy tańczyła w blasku księżyca, a jej mokra nocna koszula przylegała do ciała?

A może dużo wcześniej, tamtego ranka, gdy jako gniewny jedenastolatek przyjechał do Michellton, a Annie powitała go struclą z brzoskwiniami? Zignorowała jego naburmuszenie i ani się obejrzał, jak siedział obok niej i pożerał pyszne ciasto, radośnie się śmiejąc, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

W jego kieszeni znów zabrzęczał telefon komórkowy. Już po raz czwarty w ciągu godziny, lecz teraz ktoś długo nie dawał za wygraną. Max przez chwilę miał ochotę wyłączyć tę cholerną komórkę lub cisnąć nią o ścianę, ale w końcu się zmytował i odebrał.

- Czego? - warknął.
- Nie kupiłeś sobie tego cuda, żeby podtrzymywać międzyludzkie więzi? - z kpiną w głosie spytała babcia.
- Wybacz - mruknął skruszony.
- Zaliczyłeś trudny tydzień?
- Coś w tym stylu - przyznał, nie wdając się w szczegóły. Przecież nie mógł powiedzieć, że myśli o Annie zdominowały jego życie zarówno na jawie, jak i we śnie.
- No cóż... tak na wszelki wypadek poinformuję cię, że Josh Kendrick niedawno przyjechał po Annie.

Max poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek i mocno zacisnął palce na kolanie, usiłując się opanować. Przecież wiedział o tej randce, tylko nie znał jej daty.

- Pojechali na kolację, a potem zamierzali iść do klubu w stylu country, gdzieś na ulicy Bailer. To jakiś nowy lokal, chyba nazywa się „Tequila u Jacka”.

- Facet zabiera Annie do baru?! - Max zerwał się na równe nogi.
 - To niezupełnie bar.
 - Ale prawie.
 - Max... - W słuchawce dało się słyszeć ciche westchnienie. - Jeśli nie chcesz Annie, to daj jej spokój.
 - A jeśli chcę?
 - To lepiej idź na całość - po długim milczeniu odparła Grace.
 - Czyli małżeństwo i dzieci? - Max nie miał wątpliwości, o co chodzi babci. - Skoro dobro Annie tak ci leży na sercu, to czemu zadzwoniłaś? Dlaczego mi mówisz o szeryfie?
 - Ponieważ jesteś moim wnukiem i pragnę twojego szczęścia. Ponieważ kocham cię najbardziej na świecie. Ponieważ Annie jest twoim przeznaczeniem... Czy to wystarczy?
- Max oniemiał z wrażenia.
- Annie jest moim przeznaczeniem – powtórzył w końcu, gdy odzyskał mowę. -Więc jesteś jej współniczką, tak? Pomagasz zapolować na chłopa? Zgadza się?
- Grace zaśmiała się cicho.
- Musiałam jakoś wyciągnąć cię z tej twojej skorupy. Uznałam, że na wieść o innych mężczyznach wpadniesz w szał, ale Annie jeszcze poprosiła cię o rady. Nie liczyłam na tyle fartu.
- Może faktycznie fart ma z tym coś wspólnego, pomyślał. Annie nie zwróciłaby się do niego z prośbą o pomoc, gdyby tamtego dnia nie przyjechał tutaj z Buffy Blakely. A on nie zostałby wystarczająco długo, aby Annie się

ośmieliła, gdyby Tigger nie obdarował Buffy myszą. Gdyby Buffy tak się nie wściekła, nie zostawiłaby go w Mitchellton.

Dobre, stare Mitchellton. Mieścina, z której zawsze pragnął uciec. I aż do dziś sądził, że mu się to udało. Kto by zgadł, że Max Hunter będzie szukał swego szczęścia na Harvardzie i w Bostonie, aby w końcu odnaleźć je na początku drogi? Drugi koniec tęczy zawsze sięgał do drzwi dziewczyny z sąsiedztwa.

- Powiedziałaś, że to bar w stylu country, tak?
- Tak, Max. Na ulicy Bailer. Pamiętasz, gdzie jest, prawda?
- Pamiętam. Zdzwonię do ciebie jutro, babciu.
- Powodzenia, mój drogi.

Pospiesznie zamknął drzwi na klucz i pognął do samochodu. Miał nadzieję, że zdąży wpaść do Sacramento, aby przebrać się w coś odpowiedniego i dotrze do westernowego baru jeszcze przed Annie i jej szeryfem.

Nigdy nie przepadał za muzyką country, kowbojskimi tańcami i harcami na mechanicznym byku, więc Annie natychmiast się zorientuje, że nie zjawił się tam przez przypadek.

Oby.

- Dlaczego mi się zdaje, że jesteś trochę rozkojarzona? - mruknął Josh.

Annie spojrzała na rękę, którą jej podał, pomagając wsiąść z dżipa, i stłumiła westchnienie. Nie miała wątpliwości, że Josh Kendrick to dla niej idealny mężczyzna. Miły, dobrze wychowany, inteligentny.

Idealny pod każdym względem, z wyjątkiem jednego-nie był Maxem Hunterem.

Ale jego powinna wybić sobie z głowy.

- Przepraszam - szepnęła.

- Za to, że jesteś nie w sosie, czy za coś innego? -

Josh oparł łokieć o otwarte drzwiczki i pytająco uniósł brwi.

- Z obu powodów.

- Niech zgadnę... Jeden z nich to Max Hunter.

- To aż takie oczywiste? - Annie z trudem zdobyła się na błady uśmiech.

- Od chwili, gdy zobaczyłem, jak cię pilnuje podczas spotkania po mszy. Najchętniej powiesiłby mnie na suchej gałęzi, gdyby sądził, że mu to ujdzie płazem. Od razu uznałem go za najpoważniejszego konkurenta. Nie wiedziałem tylko, że on już zwyciężył.

- Nie jestem kością niezgody - oświadczyła cierpko. - A Max nigdy nie był zazdrosny.

- Więc chyba się zmienił.

- Bardzo wątpię. Nie lubi zmian. - Annie spróbowała uśmiechnąć się weselej. - Przykro mi, że zmarnowałam ci wieczór.

- Wcale nie narzekam... i nigdzie się nie wybieram. Kto wie, co może się wydarzyć? Poza tym uwielbiam . zabawiać smutne, piękne dziewczyny.

- Jasne. To rzeczywiście uciecha.

- Wejdźmy do środka. - Josh wziął ją za rękę. - Ten lokal podobno zaczyna być znany.

Annie także słyszała, że bar „Tequila u Jacka” to interesujące miejsce, gdzie można posłuchać dobrej muzyki, zjeść coś smacznego i tańczyć do woli.

Wnętrze okazało się obszerniejsze, niż sądziła, a tłum gości najwyraźniej świetnie się bawił. Mimo kiepskiego nastroju po kilku minutach Annie przytupywała w takt skocznej melodii i popijała przyniesioną przez Josha colę. Właśnie odstawiła szklankę na stolik, gdy nagle odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Przesunęła spojrzeniem po ludziach. Znała większość z nich, lecz prawie wszyscy albo podrygiwali na parkiecie, albo patrzyli na zespół, którego solista śpiewał rzewną piosenkę o rzece Tennessee. A przy barze siedział tylko jeden człowiek... Max.

Miał na sobie dżinsy, spłowiała, kraciatą koszulę i kowbojskie buty oraz zsunięty nisko na czoło kapelusz. W tym stroju doskonale wtapiał się w otoczenie, lecz był tutaj najprzystojniejszym mężczyzną.

Napotkał wzrokiem spojrzenie Annie i w niemym toaście uniósł swój kieliszek.

Zabolało ją to.

I strasznie wkurzyło.

Max był tak samo w stylu country, jak francuski szampan. Nieważne, skąd dowiedział się, że ją tu zastanie. Najgorsze było to, że wszystko jej utrudniał. Na pewno pozostałą przyjaciółmi, lecz musiała usunąć go ze swojego serca, zanim ono pęknie.

- Annie, coś nie tak? - Josh dotknął jej ramienia.
- Tam siedzi Max.
- No to co?
- Nie wiem, jak mnie znalazł, ale ty zaraz mnie aresztujesz, szeryfie, ponieważ zamierzam go udusić.
- Przyjechał tu, bo podałem adres Grace Hunter i zasu-

gerowałem, aby zadzwoniła do wnuka - spokojnie oświadczył Josh i wypił łyk bezalkoholowego piwa.

-Co... zrobiłeś?

- Zawiadomiłem Grace Hunter.

Annie przelknęła ślinę i spróbowała powoli policzyć do dziesięciu.

- Dlaczego chciałeś, żeby Max się dowiedział, gdzie będziemy?

- No cóż... - Josh wyprostował się i wzruszył ramionami. - Lubię cię, więc postanowiłem sprawdzić, jak mają się sprawy między tobą a tym facetem. Chyba już znam odpowiedź.

- Obecność Maxa nic nie znaczy.

- Czyżby?

- Nieważne. - Miała już szczerze dosyć tych wszystkich, przemądrzałych samców. Postawiła szklanekę z takim impetem, że ochlapała całą blat. - Zaraz wrócę... gdy go zabiję. Gdzie twoja broń?

- Miałaś dusić.

- Tą metodą pozbędę się ciebie! - Zerwała się z krzesła i pomaszerowała w stronę Maxa. Tak naprawdę nie była zła na Josha, to Max Hunter doprowadzał ją do szału.

- Witaj, Annie. - Max niedbałym ruchem odsunął kapelusz z czoła.

- Daruj sobie uprzejmości - warknęła. - Śledziłeś nas.

- Skoro mowa o szczegółach, to przyjechałem tutaj przed wami.

- Wyłaż na zewnątrz! - Kciukiem wskazała drzwi.

- Tak jest, proszę pani.

Mogłaby przysiąc, że dostrzegła w czarnych oczach

intrygujący błysk, lecz była zanadto rozjuszona i zraniona, aby się zastanawiać, co Maxowi chodzi po głowie.

Na wojnie i w miłości wszystko dozwolone, a oni oboje niewątpliwie ze sobą walczyli!

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co ty wyprawiasz? - syknęła, gdy znaleźli się na zewnątrz. - Sądziłam, że... że w sobotę wyjaśniliśmy sobie sprawę randki.

- Zmieniłem podejście.

Sporunowała go wzrokiem. Ach, ci mężczyźni. I pomyśleć, że to kobiety uchodzą za istoty słabe i chwiejne.

- Niewiarygodne, że tu przyszedłeś.

- Lepiej w to uwierz, skarbie.

- Mówiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

- Nie podobało ci się tylko „kochanie”, więc mam jeszcze duże pole do popisu.

- Nie udawaj głupka. Dla ciebie jestem tylko Annie.

- Wykluczone. Zaslugujesz na dużo więcej.

Posłała mu groźne spojrzenie, chociaż nie mogłaby odegrać się na Maksie. Gdy chodziło o niego, była o wiele za słaba. Gdyby była mądra, trzymałaby się od Maxa z daleka i zachowała swoje problemy dla siebie. A ona jak głupia poprosiła tego typu o pomoc.

Dobre sobie. Prychnęła kpiąco. Bezpieczniej byłoby zwrócić się do Barnarda. Przy nim jej serce nie biło w szaleńczym tempie. Barnard nie okazywał zazdrości, zwłaszcza bez powodu. I był ucieleśnieniem puszystego wdzięku. Natomiast Max stanowił ekscytujące zagrożenie.

- Jesteś zdenerwowana - mruknął. - Rozumiem.
- Oczywiście. Jesteś kwintesencją zrozumienia. Jak zawsze - wycodziła ironicznym tonem. Sądząc po minie Maxa, chyba zdołała mu dopiec. - Przepraszam - szepnęła. - Nie zasługujesz na takie uwagi.

- Owszem, zasługuję. Ale ty też musisz coś zrozumieć. Niedawno zaprzeczyłaś, gdy stwierdziłem, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Ale naprawdę nimi jesteśmy. Może nie rozmawiamy o ważnych sprawach tak, jak powinniśmy, ale tobie ufam najbardziej.

Niech go licho. Jak mogła gniewać się na tego faceta, skoro on tak się przed nią otwierał?

- Wolałabym, żebyś tak nie mówił - oświadczyła cierpko. - Szpiegowałeś mnie na randce. Jeszcze nie mam ochoty ci wybaczyć.

- Powiedz to.

- Niby co?

- To, co ci leży na wątrobie.

Nie miała pojęcia, co w niego wstąpiło, ale nie zamierzała brać udziału w jego grze.

- Zaraz wejdę do środka i poproszę Josha, żeby zabrał mnie gdzieś indziej. Nie pytaj, dokąd. Nie jedź za nami.

Wracaj do domu.

- Josh nigdzie cię nie zabierze.

- Czemu to robisz? - spytała zirytowana. - Sam mnie nie chcesz, lecz odganasz chętnych. To zachowanie psa ogrodnika.

- Fakt. Coś jeszcze? Wyrzuć z siebie wszystko. Jakoś to zniosę.

- Jesteś okropny.

- Wiem. I nadal słucham.

Gniewnie zmrużyła oczy, ponieważ on najwyraźniej ją prowokował. Usiłował wywołać kłótnię, w której porządnie by mu wygarnęła. Pragnie awantury? To będzie ją miał!

- Doskonale! - parsknęła. - Przykro mi, że twoi rodzice okazali się beznadziejni! Przykro mi, że cię zranili, ale chyba nie pamiętasz czegoś istotnego: Grace nigdy cię nie zawiodła i nie przestała kochać, chociaż setki razy załazłeś jej za skórę!

- To prawda.

- No właśnie. - Jego zgodny ton trochę ją zaskoczył. - Tak cholernie się boisz, aby już nikt cię nie zostawił, że nie pozwalasz nikomu zbliżyć się do ciebie. Ludzie bezustannie dokonują wyborów, Max, a twoi rodzice nie byli w tym dobrzy. Nie umieli stworzyć prawdziwego związku, tylko mieszkali z kolejnymi partnerami pod jednym dachem, zadowolając się świadectwem ślubu. Ale oni to oni, a ty to ktoś inny. Ich błędne decyzje wcale nie muszą rzutować na resztę twojego życia.

- Niewątpliwie.

- Przestań mi przytakiwać! - Naprawdę się wkurzyła, bo on nie wydawał się ani trochę rozdrażniony.

- Nie znam się na tym skakaniu sobie do oczu. - Max podrapał się w szczękę. - Nie powinienem przyznawać ci racji, nawet jeśli ją masz?

- Ja tylko... - Annie ze skruszonym uśmiechem pokręciła głową. Tym razem sama zachowywała się beznadziejnie, ale nigdy by się nie spodziewała, że Max okaże taki spokój. Nie cierpiał „tych emocjonalnych bzdur”, jak ujął to wiele lat temu.

- Chodź tutaj. - Max wyciągnął do niej rękę.

Annie zawahała się i wzruszyła ramionami. Przecież nie dadzą się ponieść namiętnościom na parkingu, gdzie wciąż kręcili się ludzie. Nie zaprotestowała więc, gdy Max ujął ją w talii i delikatnie posadził na masce swojego samochodu.

-Co się dzieje, Max? - spytała słodko. - Spadłeś z wysoka prosto na głowę? Dostałeś cegłą?

-Dlaczego? Bo nie zwiewam z powodu maleńkiej różnicy zdań?

-Właśnie. - Annie przyglądała miękka tkaninę spódnicy, czekając na potok wymowy, lecz Max milczał, więc zerknęła na niego spod rzęs. - A może Maxa Huntera porwali kosmici i zamiast niego podstawili ciebie, a on teraz leci na Marsa?

-Nie, to naprawdę ja. - Patrzył na nią z zachwytem i myślał, że jego serce zaraz zacznie śpiewać z miłości. Tak bardzo kochał Annie. Siedziała na jego aucie, łagodny wiaterek rozwiewał jej kasztanowe włosy, a śliczna sukienka podkreślała kształty zgrabnej figurki.

Miał przemożną ochotę natychmiast się oświadczyć, obawiał się jednak, że Annie uważnie mu się przyjrzy i powie „nie”. Na pewno już wiedziała, że może zdobyć każdego mężczyznę. Po co jej taki, który zawsze unikał zaangażowania uczuciowego i stał się w tej sztuce prawdziwym perfekcjonistą?

-Eee... mam dobre wieści - wymamrotał.

-A więc chciałeś mi coś powiedzieć i dlatego zrujnowałeś moją pierwszą randkę. Jesteś niepoważny i nieodpowiedzialny. I ty uważasz się za mojego przyjaciela?

- Pierwsza randka była ta ze mną, na jarmarku. Kola-
cja w Sacramento się nie liczy, bo wszystko zepsułem.

- Och, dzielisz włos na czworo.

Kątem oka spostrzegł obserwującego ich przez okno
Josh'a Kendricka i z wyzywającą miną wytrzymał jego spoj-
rzenie. Nigdy nie zaliczał się do ludzi zaborczych, lecz te-
raz...

Czy nie za długo z tym zwlekał?

Ale tak niedawno pojawił się, że Annie należy do niego już od
tamtego popołudnia, gdy jako dziewięcioletnia dziewczynka
powitała go ciastem z brzoskwiniami. On zaś był za głupi,
żeby to dostrzec, lecz może da się to jeszcze naprawić?

Josh odwrócił się od okna, Max zdążył jednak zauważyć
jego dziwny uśmiezek. Cóż, w tych okolicznościach chyba
nieźle się rozumieli.

- Co to za nowina? - przypomniała Annie.

- Kupiłem rezydencję Mitchellów.

- To... miło.

- Renowacja będzie wymagała dużo pracy. Obiecałaś
pomóc.

- Więc postanowiłeś się upewnić, że dotrzymam sło-
wa. Dlatego tu jesteś. To beznadziejne usprawiedliwienie i
dobrze o tym wiesz.

- Nie martwiłem się, że nie dotrzymasz obietnicy. Ale
tak się przejęłaś wizją zburzenia tego domu, że chciałem cię
uspokoić co do jego losów.

- W porządku. Już wiem, że nabyłeś nieruchomość i
zarobisz na niej majątek, więc teraz pozwól, że wrócę do
środku, bo mam randkę.

- Zamierzam mieszkać w tym domu. Z moją żoną.
- Z... żoną? - wybąkała zaskoczona, usiłując powstrzymać się od wyciągania pochopnych wniosków. - Nawet nie wiedziałam, że jesteś zaręczony.
- Nie mogłaś wiedzieć. Jeszcze nie poprosiłem mojej wybranki o rękę.

Annie poczuła, że jej serce na moment się zatrzymało, a potem zaczęło galopować w oszalałym tempie. W ciągu kilku minionych tygodni Max zachowywał się bardzo dziwnie. Być może znalazł sobie odpowiednio lodowatą panienkę i zamierza się oświadczyć, gdy tylko ona ociupinkę odtaje.

- A co... cię powstrzymuje?
- Ostatnio trochę narozrabiałem. Niechcący ją zraniłem i nie jestem pewien, czy ona zgodzi się za mnie wyjść i mieć ze mną dziecko.
- Więc chyba jest wariatką.
- Mmm... skądże. To najśłodsza, najcudowniejsza kobieta, jaką znam. Spróbuję ją przekonać, chociaż ona chyba ma za dużo zdrowego rozsądku, żeby poślubić takiego palanta jak ja.
- Nie jesteś palantem.
- Dziękuję. To bardzo wielkoduszne stwierdzenie.

Annie mocno spłotła palce. Pragnęła, aby Max jej się oświadczył i jednocześnie się bała, że on to zrobi. Było to całkiem bez sensu, lecz miłość rzadko ma coś wspólnego z logiką.

- Jak sądzisz, Annie, co ona mi odpowie? - Max pogłaskał ją po policzku. - Da mi szansę, czy uzna, że za nadto ją zraniłem?

- Na pewno ci wybaczy, jeśli cię kocha.
- Oby tak się stało. - Pocałował kącik jej ust. - Bo myśle o niej bezustannie. Chcę spędzić z nią resztę życia, obejmować tę kobietę, dzielić z nią smutki i radości, rozmawiać i...
- Nawet się kłócić?
- Och, to nas nie ominie - przyznał z uśmiechem. - Ale pewna mądra osoba powiedziała mi kiedyś, że kłótnie kończą związek dwojga ludzi tylko wtedy, jeśli oni tego chcą, więc ten problem mnie nie martwi. Ja nigdy nie dam jej powodu do odejścia i wiem, że ona zawsze dotrzymuje słowa.
- Max... przecież ty nie wierzysz w małżeństwo. Jakim cudem tak szybko zmieniłeś zdanie?
- Nie powiedziałbym, że szybko. Zajął mi to prawie dwadzieścia dwa lata - przyznał, odgarniając kosmyki włosów z jej czoła. - Ale do pewnych spraw trzeba dojrzeć, a to długotrwały proces. Poza tym jestem strasznym uparciuchem, jak mawia babcia.
- Trzy tygodnie temu nie kryłeś swoich poglądów. Stwierdziłeś, że wszystkie kobiety marzą tylko o złapaniu chłopca. Nawet spytałeś, czy nie wstąpiłam do klubu.
- Do licha. Spodziewał się, że niektóre słowa rykoszetem wrócą do niego. Przez całe lata otwarcie naigrawał się z instytucji małżeństwa, a teraz nieoczekiwanie zmienił front. Musiał więc pogodzić się z tym, że wszyscy w Mitchellton długo będą śmiać się z niego do rozpuku. A niech tam. Z Annie u swego boku mógł znieść dobrodusze kpiny.
- To był mój ostatni wyskok.
- A dzieci? Nigdy nie zamierzałeś ich mieć.

- Bałem się, że byłoby obiektem walki między rozwodzającymi się rodzicami. - Przysunął się bliżej i objął Annie, drugą ręką głaszcząc ją po włosach. Robił to tak czule, że jej oczy wypełniły się łzami wzruszenia. - Nie chciałem, aby moje dziecko cierpiało, więc uznałem, że lepiej zrezygnować z zakładania rodziny.

- Decydujesz się na wielki krok. - Tak bardzo chciała wierzyć, że Max wie, co robi. Musiała jednak być ostrożna. Bezwiednie przełknęła ślinę, czekając na upragnione wyznanie. Pełna nadziei, że je usłyszy.

- To nic wielkiego, jeśli człowiek znajdzie tę właściwą kobietę, Annie. - Max przygarnął ją do siebie. - Tak bardzo cię kocham. Chyba od zawsze, ale uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, gdy omal cię nie utraciłem.

- A jeśli się okaże, że nie mogę urodzić dziecka? - szepnęła po długiej chwili milczenia.

- Najbardziej pragnę twojej miłości, Annie. I przysięgam, że ja zawsze będę cię kochał tak samo, niezależnie od tego, czy dasz mi dziecko. Moje uczucia do ciebie nigdy się nie zmieniają - zapewnił żarliwie.

Wiedziała, że jego słowa płyną prosto z serca. Max powiedział jej kiedyś, że porządny facet nie będzie się przejmował tym, czy ona może mieć dzieci. Ale wtedy żadne z nich nawet się nie domyślało, że mówił o sobie.

- Ja też cię kocham - wyznała drżącym głosem.

- Annie... - Zamknął ją w uścisku, usiłując scałować z jej twarzy wszystkie łzy. - Już dobrze, skarbie. Nie płacz.

- To ze szczęścia.

- Dzięki Bogu. - Uniósł ją i trzymając w ramionach,

zawirował po parkingu. Miłość była wolnością, której nigdy nie zaznał, oraz sensem życia.

- Max, puść mnie - zapiszczała Annie.

- Wykluczone. - Cmoknął ją w czubek nosa i zaniósł do baru.

- Niech mnie licho, jeśli to nie nasz stary kumpel Max Hunter - zawołał jeden z członków muzycznego zespołu.

- Cześć, Conn. - Max dopiero teraz poznał szkolnego kolegę. - Jak leci?

- Całkiem nieźle.

Max zauważył w tłumie wiele przyjaznych twarzy i uśmiechnął się radośnie. Trudno o lepsze audytorium.

- Josh - zwrócił się do szeryfa. - Masz komórkę?

- W zasadzie nie powinienem ci pomagać, chłopie. - Josh mrugnął do niego porozumiewawczo. - Ale zrobię to dla Annie.

- Więc zadzwoń do mojej babci.

- Max, co ty wyprawiasz? - spytała Annie, a zaciekawieni goście otoczyli ich ciasnym kręgiem.

- Załatwiam... sprawy rodzinne. - Max usiadł na jednym z solidnych stolików i posadził sobie Annie na kolanach. Następnie wziął od Josha telefon i przyłożył go do ucha. - Babcia? To ja. Chcieliśmy, żebyś dowiedziała się pierwsza... Annie i ja pobieramy się.

Okrzyk Grace zagłuszyły głośnie wiwaty znajomych, klaskanie i tusz zagrany na perkusji. Telefon przechodził z rąk do rąk, ponieważ wszyscy chcieli dzielić moment radości z Grace Hunter.

- Oto upadek jednego z wielkich - oznajmił ktoś przez megafon.

- Ja tylko padłem na kolana - szepnął Max, patrząc w niebieskie oczy Annie. - Ale miłość jest tego warta.

RS

EPILOG

- Szczęśliwa?

Annie uśmiechnęła się sennie i oparła o tors męża, a on natychmiast wziął ją w ramiona.

- Mmm... uwielbiam robaczki świętojańskie - zamruczała, obserwując migoczące punkciki nad ciemną rzeką Missisipi i przeciwległym brzegiem.

- Wiem. - Max zaśmiał się ciepło. - Mówiłaś tylko o nich po powrocie z naszej podróży poślubnej. Znajomi chyba uznali, że to wszystko, co widziałas.

- Oprócz wnętrza naszej kabiny.

- A czyja to wina?

- Moja. Ale nie narzekałeś.

- Jak mógłbym narzekać na coś tak bliskiego mojemu sercu - szepnął, a jego ciepły oddech musnął jej ucho, wywołując słodki dreszczyk.

Teraz znali się już tak dobrze, wiedzieli, jak sprawić sobie nawzajem rozkosz, lecz nadal zdarzały się cudowne niespodzianki.

Na tej części pokładu, z dala od łopatkowego koła parostatku, było ciszej niż gdzie indziej. Annie przymknęła powieki, zachwycona łagodnym poszumem płynącej rzeki. W ciągu minionych dwóch lat wydarzyło się tak wie-

le... tym bardziej miło było cieszyć się rzadkimi chwilami ciszy i spokoju oraz bliskością ukochanego mężczyzny.

Oboje postanowili, że co roku będą fundować sobie rejs po Missisipi. Ta podróż miała zupełnie inny przebieg niż poprzednia.

- O czym myślisz? - spytał Max.

- O tym, że załoga i pasażerowie chyba się cieszą, bo zostawiliśmy bliźniaki w domu - odparła ze śmiechem.

- Poprzednio wcale tak nie hałasowali.

- Wiesz, że tak. - Uwielbiała swoich dwóch synków, ale fakt pozostawał faktem - większość ludzi lubi spać bez przerwy nieco dłużej niż czterdzieści pięć minut. - Co za szczęście, że Grace zgodziła się zostać nianią.

- Babcia twierdzi, że to ona wygrała los na loterii.

Najchętniej zatrzymałaby ich na zawsze.

Stojąc w objęciach Maxa, Annie pomyślała o wspaniałym sekrecie, którego jeszcze mu nie zdradziła. Znowu spodziewała się dziecka i był to prawdziwy cud... podobnie, jak wszystko w ich życiu.

Obróciła się twarzą do Maxa i oparła policzek na jego piersi, wsłuchując się w bicie jego serca. A gdy przyspieszyło tempo, zrozumiała, że on też jest podniecony.

Nigdy nie mieli siebie dosyć. Max często powtarzał - pół żartem, pół serio - że przez resztę swoich dni będą nadrabiać zaległości.

- Muszę przyznać, że drugi miesiąc miodowy jest bardziej romantyczny bez dwóch dwumiesięcznych niemowlaków śpiących w tej samej kabinie - stwierdziła Annie.

Zdaniem Maxa tamta podróż też obfitowała w cudowne chwile - mimo konieczności zmieniania pieluch, rozchła-

panej wody w łazience i godzin karmienia wiecznie głodnych maluszków. Ale wyglądały tak słodko, gdy Annie trzymała je przy piersi... Uwielbiał wtedy patrzeć na swoją żonę, uwielbiał jej łagodność i dobroć. Chyba całe Mitchellton wiedziało, że jest największym szczęściarzem pod słońcem.

Mitchellton...

Kto by pomyślał, że Max Hunter zatoczy pełny krąg i po tylu latach znów z radością zamieszka w tym miasteczku?

Po powrocie z podróży poślubnej zamierzali od razu zabrać się do odnawiania rezydencji Mitchellów, a właściwie Hunterów. I spotkało ich przyjemne zaskoczenie, gdy wszyscy przyjaciele oraz sąsiedzi zaoferowali swoją pomoc. Po wielkim sprzątaniu okazało się, że dom jest w lepszym stanie, niż początkowo się wydawało, choć renowacja i tak wymagała wiele pracy.

Max pocałował Annie w szyję i odetchnął jej delikatnym zapachem. Była taka ciepła i kusząca, a on pragnął jej przez cały wieczór - podczas kolacji przy świecach i przechadzki po spacerowym pokładzie. A teraz już nie mógł dłużej czekać.

Nigdy nie zaliczał się do cierpliwych, zwłaszcza gdy chciał kochać się z żoną, ale doceniał też ekscytujące chwile oczekiwania. I wiedział, że Annie przepada za obserwowaniem tańczących w powietrzu świetlików.

- Kochanie, może udzielić ci lekcji na temat tych błyszczących robaczków? - zażartował.

- Ach, ty i te twoje lekcje - prychnęła z udawanym oburzeniem i leciutko chwyciła zębami płaski sutek, który wyczuła pod koszulą Maxa.

- Więc nie masz chęci posłuchać? - Wymowny ruch jego bioder był sugestią starą jak świat.

- Nie... - Annie otarta policzek o tors męża, w pełni świadoma, jak na niego działa: kojąco i jednocześnie podniecająco. - Chyba już wiem o nich wszystko. - Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego, bez trudu wyuczując oczywisty dowód męskiego pożądania.

Znów pomyślała o dziecku. Fakt, że drugi raz zaszła w ciążę, naprawdę zakrawał na cud. Po urodzeniu bliźniąt poddała się operacji i chirurg nie ukrywał, że ilość tkanki bliznowatej prawdopodobnie uniemożliwi kolejne zapłodnienie.

Annie zaśmiała się bezgłośnie. Lekarz najwyraźniej nie wziął pod uwagę imponujących możliwości jej męża.

- Kochanie? - nagłym tonem szepnęła Max. - Napa-trzyłaś się już na te światełka?

- Czy ja wiem... Może sami wykrzesalibyśmy trochę iskier?

Chwycili się za ręce i pobiegli do kabiny. Steward właśnie zasłaniał okno, lecz na widok ich zarumienionych twarzy natychmiast wyszedł.

Max ze śmiechem padł na łóżko, pociągając za sobą Annie.

- Kocham cię - powiedział, obracając ją w ramionach. - Nigdy o tym nie zapomnij.

- Więc wciąż mi przypominaj.

- Żaden problem - zapewnił, rozpinając małe guziczki i stopniowo odsłaniając kobiece krągłości swojej żony.

Początkowo, gdy się pobrali, nie było mu łatwo zdobyć się na szczerłość, mówić o sprawach intymnych, wyrażać

swoich uczuć, okazywać emocji. Lecz z czasem nauczył się rozmawiać z Annie o wszystkim, a jej cierpliwość zawsze go zdumiewała.

- Jesteś taka śliczna - zamruczał, błędząc wargami po uwolnionych z koronkowego stanika piersiach. Zręcznie zsunął z niej resztę garderoby i zajął się pieszczotami.

W przyćmionym świetle nocnej lampki znów dostrzegł kontrast między brzoskwiniową skórą Annie a swoją - dużo ciemniejszą. Podejrzewał, że ta różnica zawsze będzie go fascynować.

Kilka miesięcy temu Annie zasugerowała, aby dowiedzieli się więcej o jego przodkach z plemienia Apaczów. Sądziła, że kiedyś powinni opowiedzieć o nich swoim synom. Maxowi serce wezbrało radością na wspomnienie rozjarzonych, oczu żony, gdy z dumą mówiła o indiańskim pochodzeniu.

- Max...

- Tak?

- Masz na sobie za dużo garderoby. - Wyciągnęła koszulę z jego dżinsów i pogładziła muskularny tors. Gdy ubranie Maxa wylądowało na podłodze, pochyliła się i omiotła jego biodra włosami, a on cicho jęknął.

Teraz już wiedziała, jak doprowadzić swojego męża do szaleństwa, lecz nadal twórczo eksperymentowała i za każdym razem oboje przeżywali chwile niewysłowionej ekstazy. Najpierw obdarzali się zmysłowymi pieszczotami, napięcie powolutku narastało, po czym Max brał ją w posiadanie, a ona rozkoszowała się każdą cudowną sekundą. W końcu oboje wzlatywali gdzieś wysoko i aksamitną ciemność nagle rozświetlały gwiazdy. Właśnie tak jak teraz.

Tej nocy długo się kochali, a nad ranem, gdy znużeni

tulili się do siebie, Max delikatnie błędził dłonią po ciele Annie, aż dotarł do jej piersi.

- Nadal nie przybrałaś na wadze tyle, ile zalecił lekarz - zamruczał. - Ale tutaj jesteś całkiem krągła.

Annie wstrzymała oddech. Max wciąż marudził, żeby przytyła, lecz jej piersi trochę się powiększyły z powodu ciąży, a nie wmuszanych przez niego odżywczych napojów.

- Eee... w ciągu najbliższych miesięcy chyba trochę zmienię kształty - mruknęła z uśmiechem, całkiem pewna reakcji męża na wieść, którą zaraz usłyszy.

- Już z rok temu powinnaś utyć - burknął.

- Owszem, ale wtedy jeszcze nie byłam w ciąży.

Max otworzył usta z wrażenia.

Czyżby jego żona właśnie oznajmiła, że spodziewa się dziecka?

- Annie?

Spojrzała na niego, kiwając głową, a w niebieskich oczach był blask słońca.

- O rany. - Max roześmiał się uradowany. Życie okazało się dla niego nadzwyczaj łaskawe, miał przy sobie jedyną osobę na świecie, z którą mógł być szczęśliwy.